Nr. 36. Kraków, dnia 4 września 1910. ROK I.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Kilka uwag o niebezpieczeństwie niemieckim u nas

Poniżej zamieszczamy list p. Jana Rozmorskiego, zawierający szereg trafnych uwag o grożącym nam niebezpieczeństwie niemieckim.

Nawoływania prasy wobec groźnej fali germaństwa z Prus idącej w kraje polskie, podnieciły na nowo umysły naszego społeczeństwa. Sądzę zatem, że wypadnie po myśli szanownego pisma, jeśli do programu samoobrony narodowej dołączę parę mych uwag.

Sprawę tę omówię przedmiotowo, aby wykonać psychologiczną stronę wiekowych zmagań z żarłocznicą krzyżacką, dzięki której Polska jako jeszcze kwitnące państwo od morza, tego pnia żywotnej swej siły, odrzuconą została, a do dziś dnia odbywa się celowo kolonizacya ziem polskich.

Niejednokrotne zabiegi szlachetnych jednostek chybiały dlatego swego celu, ponieważ uśpiona dusza narodu nie mogła wyczuć niebezpieczeństwa. Potrzeba było silniejszych zdarzeń, wstrząsających jej głębinami. Takimi była Września i ostatnie ustawy antypolskie.

Bojkot, parę lat trwający, ma pewien bardzo znamienny objaw tem ciekawszy, że jakkolwiek inicyowany przez ludzi starszych, znalazł najpierw i najsilniejszy oddźwięk w sercach młodzieży a nawet tych dzieci szkolnych, które pierwsze mimo oporu kupców w czyn go wprowadzili.

Drobne, a mało znaczące wypadki wzrastają do wielkich zagadnień. Potrzeba było Wrześni, aby w duszach najmłodszych ich braci wywołać sympatyczny ten odruch. Przesady nie będzie, gdy powiem, że troska i cel dawnych pokoleń się spełniły. Potężna idea bytu i samoobrony poczęła świtać, a że padła na serca czyste w pąkowiu życia naszej młodzieży, więc ona ujawni się wtedy, kiedy się oni ujrzą w pełni swych praw obywatelskich.

Powiedzmy otwarcie: Oto zysk nasz największy i oto są karty nasze przed wrogiem odkryte, jak odkryte leżą przed nami wypisanej nam walki w Poznańskiem. Ustawy wyjątkowe nie zmogą idei, jeśli ona spocznie na gruncie pewnym z podłoża bolu i łez zapłodnionych szczerym ogniem miłości ojczystej. Na takim podłożu rodzą się kwiaty najpiękniejszych cnót narodowych, zaparcia się i pracy, cichych cierpień i wiary, a te wiodą do bohaterstwa.

W atmosferze pracy i codziennych zmagań może się urobić zdrowy i karny organizm społeczny i tylko takiemu można kreślić programy skutecznej obrony do spełnienia. W jakiejkolwiek ujawni się on formie, jak u Czechów naprzykład przez skonsolidowanie się grup społeczeństwa w całość, — będzie to dziełem takiej przyszłości, co uduchowione ideą narodową, własną jej siłą ożyje i rozwijać się pocznie.

Więc spokojnem okiem wolno nam w przyszłości spoglądać, jeśli świadomi celu korzystając z obecnej chwili i nastroju, będziemy wskrzesać uśpione cnoty narodowe. One są jedynie tą bronią, którą wróg się nuży i w zapędach się hamuje. Do zdobycia tych wiedzie wprawdzie droga ciężka i trudna, ale nie od dziś drogą już taką stąpa naród polski ku wzniosłym ideałom.

Ważną bardzo rzeczą jest duchowa łączność z Królestwem, ważną niemniej rzeczą jest wyzwolenie się ekonomiczne drogą uprzemysłowienia kraju. A jeśli ogromną dziś jest naszą troską systematyczna kolonizacya ziem polskich: Galicyi i Królestwa — to objaw ten dla nas tem straszniejszy, ile że taki wypływa z przeludnienia się Niemiec. — Z tej samej przyczyny również odbywa się opuszczanie placówek przez jednostki indywidualnie słabsze.

Okrutne prawo natury, że słabszy w walce upada, spoziera nam w twarz widmem zagłady.

Więc słów gorętszych nie można odnaleść dla mądrych jednostek naszego społeczeństwa, by w naporze tym z zachodu powołać do walki uśpione cnoty narodowe, te wielkie i świetne, które obecnie w Poznańskiem odżyły.

Troską naszą być winno, by lud nasz nie schodził tak łatwo do rzędu bezdomnego proletaryatu, a następnie szedł w wieczną niewolę do pruskich krajów lub Ameryki. Dla polityków lub ekonomistów otwiera się piękne pole do działania. Przeludnienie istotne niech znajdzie naturalne swe ujście na wschód na opuszczone placówki dworów polskich rokrocznie parcelowanych.

Jan Rozmorski.

Listy z Poznania.

(Korespondencya własna).

I.

Zasługi zmarłego d. 24 listopada 1906 r. arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, ks. Floryana Stablewskiego, uczciło Towarzystwo Robotników Polskich, wznosząc mu w prastarej katedrze poznańskiej piękny pomnik z marmuru i bronzu, wykonany przez utalentowanego artystę rzeźbiarza Marcina Rożka, syna robotnika z Wolsztyna. Pomnik odsłonięty został 19 czerwca rb. Aktu poświęcenia dokonał ks. oficyał Dalbor, a mowę podczas uroczystości wypowiedział ks. prałat Antoni Stychel, poseł do Sejmu i Parlamentu, najpopularniejszy dziś przedstawiciel społeczeństwa polskiego w Berlinie. Zaznaczył on w przemówieniu, że pomnik jest fundacyą robotników polskich, których zmarły arcybiskup był troskliwym opiekunem.

Pomnik przedstawia się okazale. Jest to duża tablica z popiersiem zmarłego u góry w medalionie, uwieńczonym godłami arcybiskupiemi; środek zajmują napisy, a u dołu widnieją herby rodziny Stablewskich.

Ks. arcybiskup Stablewski zasłużył na miano dobrodzieja robotników polskich. Zorganizował potężny dzisiaj Związek Towarzystw Robotników Polskich i był jego patronem. Związek liczy obecnie 270 Towarzystw z 32,000 członków. Pod opieką ks. patronów, rozwija działalność w dwóch kierunkach: kulturalnym, urządzając zebrania, odczyty, koncerty, przedstawienia teatralne, organizując biblioteki, czytelnie, związki, wydając śpiewniki i własne czasopismo „Robotnik"; ekonomicznym — za pomocą Kasy Pośmiertnej i bezpłatnego Biura Porady Prawnej. Prezesem Związku est obecnie ks. prałat Stychel. Wielce gorliwie i owocnie pracował dla Związku ks. kanonik St. Adamski, który niedawno przeszedł do patronatu Związku Spółek Bankowych, ustępując miejsca ks. Arkadyuszowi Lisieckiemu, dziś generalnemu sekretarzowi Związku i redaktorowi „Robotnika". Ks. Lisiecki należy do wybitnych działaczy społecznych, a w zakresie organizacyi czytelni ludowych niespożyte zasługi położył.

Pomnik arcybiskupa Stablewskiego korzystnie się wyróżnia w prastarej katedrze, o której przy sposobności słów kilkoro powiemy. Podkreślimy przedewszystkiem, że chociaż świątynie poznańskie datami sięgają pierwszych dni epoki piastowskiej i największego rozkwitu sztuki gotyckiej, przecież niektóre zaledwie dochowały coś z pierwotnego charakteru artystycznego. Przebudowy, pożary i wojny prawie zupełnie starły z nich znamiona dawne, czego wymowne widzimy dowody choćby w samej katedrze poznańskiej, wyglądającej wprawdzie okazale i wytwornie, ale jako dzieło sztuki z ostatnich lat dziesiątków XVIII w., kiedy dla sztuki zaczynają przyświecać dzieła piękna klasycznego świata. Gdyby nie dwie wieże z krzyżami, to z artystycznego charakteru fasady, można byłoby wziąć katedrę za wytworny pałac odradzającego się klasycyzmu. A przecież starożytna to bardzo świątynia, bo jak wiadomo, ufundowana przez Mieczysława I w r. 968. Biskup Bogufał I kazał w r. 1253 chór katedralny, bardzo porysowany, całkiem rozebrać i odbudować. W r. 1310, mieszczanin poznański Przemko, zbuntowawszy się przeciwko Łokietkowi, uznał za pana Henryka ks. na Głogowie i usadowiwszy się w katedrze, rabował prałatów. Od r. 1436 do r. 1522, katedrę wciąż restaurują, głównie biskupi: Andrzej z Bnina, Uryel Górka i Jan Lubrański. W r. 1622 katedra doszczętnie zgorzała, lecz już w r. 1636 biskup Andrzej Szołdrski kończy jej odbudowę wytworną z pięcioma wieżami. Lecz znów w roku 1754 znajduje się w tak opłakanym stanie, że dla bezpieczeństwa publicznego ją zamknięto i nabożeństwa przeniesiono do kościoła Ś-tej Maryi Magdaleny. Wreszcie staraniem biskupów Okęckiego i Młodziejewskiego zostaje odbudowaną i przyprowadzoną do stanu dzisiejszego.

Zabytki Kowna.

Co rok letnie miesiące ściągają na Litwę sporo osób z różnych stron kraju. Kowno, stary gród nadniemeński, obecnie liczący około 80,000 mieszkańców, położone u ujścia Wilii do Niemna, a oddalone o parę wiorst od bystrej rzeki Niewiaży, która oddziela Żmudź od Litwy, niejednego zatrzymuje na kilka dni w swych murach dla zwiedzenia jego zabytków.

Położone w najpiękniejszej dolinie, z domkiem, gdzie wieszcz mieszkał i tworzył, z doliną, noszącą dziś jego imię, z pobliską Wilią, gdzie wśród „tulipanów i narcyzów" błąkając się myślał o straconej dla siebie Maryli, wspomniał o swem dzieciństwie „sielskiem anielskiem" i czerpał natchnienie do II i IV części „Dziadów", gdzie powstały niezrównane ballady i „Oda do miłości", posiada wiele czaru i budzi wspomnienia przeszłości.

Najwięcej zabytków znajduje się w dzielnicy Starego Miasta, w której pierwsze domy murowane powstały za czasów Witolda, a dom mylnie obecnie nazywany świątynią Perkunasa, jest jego dziełem, wybudowanym jako śpichlerz. Kościoły są przeważnie ze złotej epoki Jagiellońskiej, z olbrzymim gmachem poaugustyńskim, obecnie katedra z godną widzenia dość obszerną kaplicą gotycką i freskami Andriollego. W murach pojezuickich lokowało się 6-klasowe gimnazyum, w którem Mickiewicz wykładał historyę i literaturę. Szkoła ta trwała od 1831 roku, kościół zaś zamieniono na sobór prawosławny.

Nad Niemnem znajduje się dobrze jeszcze zakonserwowany dom, wówczas bogatego kupca Hechela, w którym lokował się ze swymi adjutantami Napoleon. W roku 1831 Kowno było jednym z główniejszych terenów walk oddziałów powstańczych z regularną armią rosyjską. Dnia 10-go czerwca gen. Malinowski, uderzył na miasto, w którem się rozpaczliwie broniło 600 żołnierzy pod wodzą Kiernickiego i Prozora. Po uciążliwej walce zostali wzięci do niewoli. Emilia Platerówna zaś wypadkowo ocalała. Rok 63 był świadkiem gorących manifestacyi i uroczystości na Niemnie, bratania się Korony z Litwą, a młodzież szkolna rzuciła zakłady i przyłączyła się do oddziałów ks. Maćkiewicza i Raczkowskiego. Obu tych dowódzców w sutannach oraz Korejwę, Waszkiewicza, Białłozora i Wróblewskiego rozstrzelano pod Górą Piotrowską, przy obecnej ul. Kurowskiej, gdzie dziś mieści się straż ochotnicza ogniowa i dom d-ra Martusewicza.

Wiele osów zwiedzając gród nasz, zapomina o odległem o 7 wiorst Pożajściu, do którego można się udać parostatkiem, odchodzącym codzień o godz. 2-giej po poł. do Birsztan, powrotna zaś droga wynajętemi końmi lub pieszo prowadzi lasem, wzgórzami nad Niemnem, koło tunelu i doliny Mickiewicza. Wspaniały niegdyś klasztór Kamedułów skonfiskowany po roku 1831, ufundowany przez znakomitego męża stanu za Jana Kazimierza, kanclerza W. Ks. Litewskiego Krzysztofa Para w roku 1662, wznosi się nad brzegiem Niemna, na górze malowniczej, odzianej lasami, zwanej „Mons Pacia" — Góra pokoju (aluzya do imienia Paców). Zwłoki jego i żony spoczywają w katakumbach kościelnych. Jeszcze dziś prawie nietknięte zachowują się po całym kościele i na murach klasztoru freski z historyi św. i historyi zakonu Kamedułów, malowane przez ówczesnych artystów włoskich, których w tym celu specyalnie sprowadził potężny Pac, jak również i rzemieślników włoskich do okładania ścian grubemi marmurami czarnemi i czerwonemi dostarczanemi z nad wód Adryatyku. Subtelna robota i piękna harmonia kolorów, przykuwa widza i pogrąża w zadumę nad naszą przeszłością.

W murach tych w czasie wyprawy na Litwę w roku 1706 przebywał Karol XII, a w roku 1831 odbywały się narady przywódców ruchu ks. Ogińskiego, Maziańskiego, Szukszty i Puszeta, stąd też wyruszyli ze swemi oddziałami na nieudaną wyprawę do Kowna.

Obowiązkiem jest każdego zwiedzającego Kowno być w niedawno otwartem muzeum miejskiem za ratuszem, prosperującem publicznie dzięki zapobiegliwości i pracy kustosza p. Tadeusza Dowgirda z komisyą, w skład której wchodzą pp. mecenas W. Bociarski, L. Niecięcki, Hryncewicz, Herbaczewski i W. Starewicz.

Z powodu uroczystości grunwaldzkich na czasie jest przypomnieć o bytności w Kownie pogromcy potęgi krzyżackiej, króla Władysława Jagiełły. W 1384 roku Jagiełło będąc W. Ks. Litewskim, pogodziwszy się z Witoldem, przez miesiąc oblegał z nim zamek obsadzony krzyżakami o murach na 10 stóp grubych (obecnie pozostała tylko część baszty nad Wilią) odparł odsiecz W. mistrza Konrada Wallenroda i zmusił do poddania się krzyżacką załogę.

Drugi raz Jagiełło przybył do Kowna już jako król polski d. 6. stycznia 1408 roku na kongres, w którym brali udział W. mistrz krzyżacki Ulrych Jungingen, mistrz inflancki oraz ks. Witold. Celem zjazdu było oznaczenie granic między Polską a Zakonem, lecz do porozumienia nie do-

szło. Już po zwycięstwie grunwaldzkim i traktacie toruńskim w roku 1413, przybył Władysław do Kowna, by z wybranym rozjemcą, wysłańcem ces. Zygmunta, zakończyć spór o granicę. Po układach, król zostawiając żonę Annę i córkę Jadwigę na zamku w Kownie, udał się z Witoldem statkami po Niemnie dla nawracania na wiarę św., do której Żmudzinów zniechęcali krzyżacy. Lud tłumnie przystępował do chrztu, a po kilku latach, Witold założył katedrę biskupią żmudzką w Miednikach (Worniach).

Moc życia!

Piękne jest życie, gdy je owionie
Zapał, co płynie z Boskiego tchnienia,
Gdy w sercu uczuć pogoda płonie,
Cierń cierpień w kwiecie wiosny się zmienia,
Gdy duch w słoneczne wpatrzony kraje
Ku szczytnym celom mknąć nie przestaje.
Choć noc trosk ziemskich skrzydła mu gnieci,
Zdoła obudzić w sobie sił trwanie; —
Jak orzeł, gdy raz w obłoki wzleci,
Swobodnie buja po chmur rydwanie,
I coraz wyżej, wyżej się wzbija,
Przepaście ziemskie zdala omija. —

Prawdomir.

Kaszubi żyją!

(Korespondencya z Gdańska).

Gdańsk to takie piękne, stare i ciekawe miasto, tyle tam jest pamiątek polskich z czasów kiedy Kazimierz Jagiellończyk pokojem w Toruniu r. 1466 nabył prawa do wybrzeża Baltyku, oraz gdy praprawnuk jego, Władysław IV, zakładał tutaj port i urządzał flotę, iż warto wszystkie te zabytki zobaczyć i dawnem nacieszyć się wspomnieniem. I później jeszcze Jan III Sobieski długi czas tutaj przebywał, a w Rucewie, wiosce nieopodal Pucka, kaszubskiego miasteczka — nie mało o tym królu krąży opowieści. Kaszubi, zamieszkujący całe wybrzeże, począwszy od Gdańska na zachód, oraz sięgający głęboko w morze półwysep Hela, są pochodzenia słowiańskiego. Nazwisko Kaszubów przybrali, jak mówią, od szub, t. j. półkożuszków, które tak mężczyźni, jak i kobiety nosiły, bodaj zimą i latem, chroniąc się od wiatrów morskich nieraz bardzo dokuczliwych. Była chwila, iż mówiono, że Kaszubi giną, że zapomnieli zupełnie swojej mowy i wprost zniemczeli. Nieprawda to! Mowa ich rzeczywiście mocno zepsuta, ale przypomina bardzo dawne, prastare wyrażenia polskie i jest bezsprzecznie narzeczem, t. j. odłamkiem języka polskiego. Od lat kilku ludzie, miłujący ojczystą mowę i pojmujący, iż żaden odłamek naszego narodu zginąć nie może i nie powinien, pracują, ażeby i Kaszubi nie zaginęli.

I oto obudził się duch w tej garstce ludności, którą mieliśmy za straconą i oto starzy przypomnieli sobie dawne legendy i nie rzadko spotkać się można z takim, który opowiada: „My, Kaszuby, jeszcze za takiego króla przynależeli do Polski, co to miał taki duży miecz, że jak wjechał do jakiegoś miasta, hen, gdzieś daleko, to w bramę uderzył, miecz wyszczerbił. A potem to nas wciąż, jako tę łódź, co bez rybaka ostała, zabierali to jedne, to drugie, ale my ostaniemy zawsze wierni naszej mowie i naszej świętej wierze i Ojcu świętemu".

Rzeczywiście Kaszubi są bardzo pobożni, są i Kaszubi luteranie, ale i ci swoją odrębność od niemczyzny rozumieją.

Goście, przybywający nad Bałkan dla kąpieli, oddają wielkie usługi ludności tutejszej. Samo zetknięcie się z osobami, mówiącemi czystą polszczyzną, jest kroplą, która, spadając ciągle na kamień, wreszcie go wyżłobi. Przebywając co roku w nadbrzeżnych kąpielach, widzę postęp w tym kierunku, a chociaż od przybywających i Niemcy dużo zarabiają, zarabiają też i Kaszubi, a zyskują moralnie.

Wszystkie bowiem miejscowości nadmorskie mają urządzone kąpiele. Dlatego byłoby bardzo dobrze, żeby przyjeżdżający z Królestwa nietylko tak tłumnie osiadali w Sopotach, lecz podążali do drobniejszych osad, jak Gdynia, Lgotka, bardzo dobrze urządzonych Brzezin (po niem. Brösen), Neufarwasser i w. in., które są rdzennie kaszubskie. Neufarwasser, mimo niemieckiej nazwy, ma ludność lepiej mówiącą po polsku, niż wiele innych. Ma też port bardzo ożywiony, morze więcej otwarte. Dojechać tam można z Gdańska za 25 fen. kolejką elektryczną, a nawet dalej, bo do Brzezin, widzieć ciągle morze i ruch, jaki zwykle w portach panuje. Ztamtąd można znów parowcem dostać się do Sopot.

Wszyscy jednak mimo to, dążą wprost do Sopot, bo tu lepsze są urządzenia, wygodniejsze



W podróży.

mieszkania, oświetlenie elektryczne, mnóstwo sklepów i rozmaitych przyjemności. Przedewszystkiem prawdziwie chorzy mają na zawołanie cały legion lekarzy.

W Sopotach koncentruje się ruch kaszubski w zebraniach co tydzień i Macierzy, której głównym kierownikiem jest p. sędzia Chmielewski. W jego wili pod nazwiskiem „Quo Vadis“ bywają zebrania i odczyty. W tych dniach miał odczyt dr. Majkowski, redaktor Gryfa, pisma wychodzącego w Kościerzynie. Pismo to ma na celu szerzenie polskości wśród Kaszubów, p. Majkowski zaś stoi na czele ruchu, tak zwanego młodo-kaszubskiego. Odczyt swój ilustrował p. M. niknącymi obrazami, przedstawiającymi chaty i życie Kaszubów, zakończył go zaś słowami: „My Kaszubi jesteśmy jako ten kamień, wrosły w ziemię, którego żadna siła ludzka ruszyć nie może“.

Wędrówka trzęsień ziemi.

Że jak wszystko w przyrodzie, tak i trzęsienie ziemi występuje według prawnego prawa, nie pojawia się przypadkowo, wątpliwości nie ulega. Idzie tylko o poznanie tego prawa. Otóż fizyk niemiecki H. Wehner, studyując daty i miejsca trzęsień ziemi i wybuchów wulkanicznych przyszedł do przekonania, że trzęsienie ziemi pojawia się w tej samej szerokości geograficznej i oczywiście w miejscach usposobionych do nich tak, iż posuwają się ze Wschodu na Zachód i potrzebują 952 lat do obiegnięcia kuli ziemskiej. Na poparcie tego twierdzenia przytacza Wehner następujące dowody: I tak w północnej szerokości geograficznej, 38 stopni wynoszącej, pojawiło się w roku 1855 bardzo gwałtowne trzęsienie ziemi w Konstantynopolu i nad brzegami morza Marmora. Po 38 latach, t. j. w roku 1893 wystąpiło trzęsienie ziemi na Zachód o 15¼ stopnia nad zatoką Neapolitańską. W roku 188[illegible] wystąpiło trzęsienie ziemi w Chios, w roku 1886 w stolicy Aten, w roku 1888 koło Koryntu, w roku 1893 na wyspie Zante, w latach 1895 i 1905 na morzu Jońskiem, a w roku 1908 nad cieśniną Messyńską wywołując pamiętną wszystkim, niebywałą oddawna katastrofę w Messynie i południowej Kalabryi, katastrofę, w której straciło życie 80,000 ludzi. Według przepowiedni Wehnera pojawi się trzęsienie ziemi w roku 1914 w Palermo, w roku 1952 koło Alicante w Hiszpanii, w roku 1972 na brzegach Portugalii. Obecnie zagrożone są trzęsieniem ziemi, podług domniemanego prawa Wehnera, w południowej Europie Vivaris i Herault we Francyi, Macedonia, okolice Otranta i Tarentu, wyspa Cypr, a w Afryce Algier. — Czy się to sprawdzi, pokaże doświadczenie, jako ostateczny probierz wszelkich przepowiedni tyczących się przyrody.

Zdradliwy Telefon.

(Humoreska z angielskiego).

— Kiedy już mówimy o kradzieżach bankowych — rzekł mój przyjaciel Inster, inspektor policyi — opowiem wam, jak mi się powiodło chwycić bardzo sprytnego oszusta przy pomocy telefonistki. Wcale zajmujący wypadek. A może nie chcecie słuchać?

— Ależ owszem, opowiadaj pan! — zawołało całe towarzystwo.

— Pewnego dnia — zaczął opowiadać inspektor — odezwał się telefon w biurze jednego z wielkich banków w Liwerpoolu.

— Kto mówi? — zapytuje przy aparacie młody kantorzysta.

— Silverton z firmy „Silverton Syn i Spółka“ w Londynie, przy ulicy „Princess“ — brzmiała odpowiedź. — Czy pan Golden jest?

— Jest — odparł kantorzysta.

— Proszę przywołać go do telefonu.

Po chwili zjawia się przy telefonie pan Golden i woła:

— Jestem. Kto mówi?

— Mówi Silverton. Przepraszam najmocniej, że pana fatyguję, ale rzecz jest bardzo ważna. Proszę sobie wyobrazić, że po uwolnieniu od służby mojego kasyera Hamptoma, który prosił o dłuższy urlop, spostrzegłem w kasie brak sporej sumy. Obawiam się, że uznał za stosowne uciec z temi pieniędzmi.

— Bardzo mi przykro, ale cóż ja na to poradzić mogę?

— Między banknotami — mówił dalej Silverton — znajdują się trzy po tysiąc funtów. Wiem, że Hampton ma krewnych w Ameryce, przypuszczam zatem, że uda się tam, a w drodze wstąpi do pańskiego kantoru i pod zmyślonym pozorem poprosi o zmianę banknotów na drobniejszą monetę.

— Aha, więc mam go kazać uwięzić?

— Przeciwnie — odparł szybko Silverton. — Zaprowadź go pan do swego gabinetu i palnij mu



IDYLLA.

porządne kazanie. Gdy go pan wzruszysz, wypłać mu za te trzy tysiącfuntówki 500 funtów w złocie i puść go następnie na złamanie karku.

— Ależ...

— Proszę się nie dziwić, zaraz to panu wytłómaczę — mówił Silverton. — Ojciec Hamptona ma prawo do mojej wdzięczności, gdyż firmie naszej oddał znaczne usługi. Powiedz pan temu gałganowi, że nie chcemy go wsadzić do kryminału przez wzgląd na jego ojca. Nie chcę unieszczęśliwiać całej rodziny przez jednego wyrodka. Niech sobie jedzie do Ameryki i rozpocznie tam nowe życie.

— A cóż powiedzą pańscy wspólnicy? — zapytał Golden.

— Jestem pewny, że się na to zgodzą. Wypłać mu pan zatem 500 funtów, a resztę z trzech tysiącfuntowych banknotów zapisz na nasz rachunek.

— Dobrze — odpowiedział Golden. — Niech tak będzie, jak pan chce. Proszę jednakże o dokładny rysopis ptaszka, ażebym mógł uprzedzić moich urzędników.

— Poznać go można bardzo łatwo — zapenił Silverton. — Jest wzrostu średniego, liczy 21 lat życia, lecz wygląda na 30, twarz blada, podłużna, włosy czarne i bródka niewielka tej samej barwy. Nosi okulary i kuleje na lewą nogę.

— No to poznamy go napewno — odrzekł Golden. — Po załatwieniu się z nim zatelefonuję do pana i opowiem wszystko.

— Na razie nie potrzeba — mówił Silverton. — Zaraz po południu wyjeżdżam do Brigton do żony i dzieci. Dziś albo jutro zatelegrafuję stamtąd do pana i poproszę o wiadomość pod wskazanym adresem. Tymczasem bardzo dziękuję za spełnienie mej prośby.

— Bardzo proszę, to drobnostka — odrzekł Golden.

— Do widzenia.

— Do widzenia. Ukłony dla wspólników.

Wszyscy współpracownicy firmy Golden otrzymali dokładny rysopis zbiegłego kasyera i rzeczywiście po południu około godz. 4 zjawił się w biurze mężczyzna blady, o czarnych włosach i małej bródce, kulejący na nogę. Prosił, ażeby mu wymieniono trzy banknoty tysiącfuntowe na złoto.

— Przychodzę w interesie firmy „Silverton, Syn i Spółka“ — mówił kasyer. — Polecono mi zmienić te banknoty na złoto.

— Z przyjemnością — odparł kasyer, a po cichu kazał wezwać szefa.

Po chwili zjawił się pan Golden, a zwracając się do przybysza, rzekł:

— Proszę pofatygować się do mojego gabinetu. Mam z panem do pomówienia. Nie spoglądaj pan tak na drzwi; w sieni znajduje się agent policyjny, który nie pozwoli ci umknąć.

Gdy drzwi do gabinetu zamknęły się za nimi, Hampton padł na krzesło, zakrywając twarz rękami.

— Młodzieńcze! — mówił Golden surowo. — Wstąpiłeś na bardzo złą drogę. Postępek twój jest nietylko karygodny, ale i bardzo głupi. Zabrałeś pieniądze, nie myśląc, że brak ich może być w tej chwili spostrzeżony. Nie przyszło ci na myśl, że bank, w którym zechcesz zmieniać grube banknoty, będzie już o wszystkiem zawiadomiony przez telefon. W kilka godzin po ucieczce okrywasz hańbą nietylko siebie, lecz także nieszczęsną rodzinę. Ocalenie zawdzięczasz tylko panu Silvertonowi, który wspaniałomyślnie polecił wypłacić tobie 500 funtów z warunkiem, że natychmiast opuścisz Anglię i rozpoczniesz na drugiej półkuli nowe, uczciwe życie. Jeżeli się jednakże ośmielisz pozostać w kraju, narazisz się na skutki, których ci tłómaczyć nie potrzebuję. Czy przyjmujesz te warunki?

— Ach, panie Golden — wołał Hampton, łkając. — Póki życia, nie przestanę być wdzięczny panu Silvertonowi. Teraz pojmuję, jak niegodnie postąpiłem. Ofiarowane mi łaskawie 500 funtów przyjmuję, ale jako pożyczkę. którą zwrócę z uczciwej pracy.

Skrucha i rzeczywisty żal biedaka były tak widoczne, że Golden nie wahał się dalej. Wręczył Hamptonowi rulon złota, odprowadził go aż do drzwi i podał mu nawet rękę, życząc pomyślności w dokonaniu chwalebnych zamiarów.

* * *

— Dotąd nie domyślasz się pan, jaką ja odegrałem rolę w tej sprawie — mówił agent Inster, patrząc na mnie z uśmiechem. — Osoba moja ukazała się na końcu, ażeby wywołać nowy i całkiem niespodziewany efekt.

— Przy aparacie na stacyi telefonicznej znajdowała się pewna młoda i piękna telefonistka zarazem bardzo ciekawa. Przypadkowo, czy też może nie przypadkowo, słyszała całą rozmowę Silvertona z Goldenem. Treść rozmowy zadziwiła ją nadzwyczajnie, wpadła więc na pomysł następujący. Zadzwoniła do bankiera londyńskiego, zapytując, czy wszystko dobrze zrozumiał, gdyż linia z powodu burzy nie funkcyonuje należycie. Silverton w odpowiedzi wyraził wielki



Roman Lewandowski. NOKTURN.

zdziwienie i oświadczył, że wcale nie rozmawiał z Liwerpoolem.

— Przepraszam. Pomyliłam się widocznie w numerach — odpowiedziała sprytna telefonistka, następnie zaś połączyła się z biurem, w którem ja pracuję.

Szef wezwał mnie i zawiadomił o treści doniesienia telefonistki. Właśnie wówczas byłem zajęty śledzeniem szajki fałszerzy pieniędzy, jednakże mimo największych wysiłków nie mogłem wpaść na ich trop. Wypadłem jak z procy na ulicę, wskoczyłem do fiakra i pędem pojechałem do Goldena. Gdy stanąłem przed bramą jego domu, Hapton wychodził rozpromieniony. Na widok mój zbladł, znaliśmy się bowiem z dawniejszych czasów. Zatrzymałem go, a w kilka minut później ulokowałem go w areszcie.

Banknoty tysiącfuntowe były naturalnie podrobione. Za nie otrzymał Hampton 500 funtów prawdziwej monety w złocie. Niestety, plan sprytnie obmyślony runęł dzięki przypadkowi. Otrzymałem za tę sprawę awans i podwyżkę płacy.

— Dzięki telefonistce — wtrąciłem.

— Podzieliłem się z nią zyskiem. Telefonistka owa jest obecnie... panią Inster.

Japońskie przysłowia.

Gdy coś twierdzi sprzedający,
Zważ, co mówi kupujący.

Kto obce władztwo przyjmuje,
Tem ojczyzny nie zyskuje.

Nierówność jest początkiem rozdziału.

Bogactwo jest skarbem jednego życia,
Mądrość skarbem wszyskich czasów.

Czytelnik nic nie wie o trudach i troskach autora.

Kto nie wejdzie do jaskini tygrysa, nie dostanie jego młodych.

Strzeż się pięknych kobiet, bo są jak czerwony pieprz.

Nie przez pytanie, a przez paplanie popadamy w biedę.

Żóraw nie buduje gniazda na uschniętem drzewie.

Kto głodny, ten nie wybredny.

Kto ludzi szanuje, tego ludzie szanują.

Jedno włókno nie jest jeszcze nicią, ani jedno drzewo lasem.

Cesarz jest cesarzem ludu, nie zaś cesarzem kraju.

Są chwile, gdy nawet mysz stać się może tygrysem.

Gdy starość nadchodzi, lepiej mieć dzieci, niż złoto.

Można mówić kłamstwa, które wyglądają na kłamstwa, nie zaś kłamstwa wyglądające na prawdę.

Drobiazgi naukowe.

Technika na usługach kryminalistyki.

Na wystawie brukselskiej znajdował się był wielce pomysłowy przyrząd inżyniera francuskiego Bertillona, nazwany przez niego „siłomierzem dla włamywaczy“. Zastosowanie tego przyrządu polega: 1) na dokładnem określeniu wysiłku mięśniowego, użytego przez złoczyńcę przy włamywaniu, i 2) na reprodukcyi fotograficznej i doświadczalnej podczas śledztwa rozmaitych praktyk złodziejskich przy podważaniu, wyłamywaniu i rozłupywaniu drzwi, szuflad, kas itp.

Dochodzenia policyjno-kryminalne mają na celu odszukanie zarówno samego przestępcy, jak zbadanie istotnych pobudek zbrodni na zasadzie uprzytomnienia całokształtu faktów, w których przestępstwo było spełnione. Jasną jest więc rzeczą, że przez dokładne i metodyczne zobrazowanie danego czynu sama logika faktów doprowadzi nas do porządanego celu. Otóż dynamometr (siłomierz) Bertillona pozwala na ilościowe określenie wysiłku mięśniowego w każdym przypadku, a więc i w razie włamania, dokonanego z pewną siłą i w tem nowem zastosowaniu już oddał policyi śledczej bardzo ważne usługi.

Nowy przyrząd składa się z mocnej, do stołu ruchomo przytwierdzonej podstawy, na której wznosi się masywna rama drewniana, a w ramie tej umieszczony jest dynamometr. Sprężyna tego siłomierza siśnie na żelazną zasuwę, pod którą się wkłada jeden lub dwa kawałki deski, będących przedmiotem naszych badań. Doświadczenie polega na tem, że pomiędzy rygiel a deskę wpychamy z siłą drąg żelazny lub inne narzędzie i poruszamy tak, jak przy włamywaniu, z góry na dół drążkiem tak długo, dopóki nie nastąpi rozłupanie lub oderwanie deski. W ten sposób odtworzyliśmy wysiłek włamywacza. Jedna strzałka siłomierza wskazuje w każdej chwili w kilogramach wywołany przez nas wysiłek, a druga, jak na barometrze, wskazuje maximum tego wysiłku.

Takie jest określenie wysiłku w kierunku pionowym. Ponieważ jednak przy tego rodzaju ruchach istnieje zawsze i siła składowa pozioma, więc dla dokładniejszej obserwacyi dołącza się jeszcze drugi siłomierz o sprężynie poziomej. Specyalny mechanizm pozwala zarówno na zatrzymanie jednego z siłomierzy, jak na jednioczesne działanie obu. Tak n. p. przy działaniu na twardą deskę orzechową 2 centymetrów grubości dynomo-



Dziki krzew figowy.

metry wskazywały w chwili pękania deski: jeden 600 kilogr., a drugi prostopadły do niego — 150 kilogr. wysiłku przy użyciu drążka długości pół metra.

Pomysłowość konstrukcyi siłomierza Bertillona polega na tem, że może on być umocowany w odpowiedniej pozycyi do drzwi, szuflady, zamykadła kasy itp. i pozwala wtedy odczytywać bezpośrednio wielkość wykonanego wysiłku. Ponieważ każde z narzędzi złodziejskich działa w pewien określony sposób i w każdym wypadku innej wymaga sprawności, przeto dla dokładnepo scharakteryzowania właściwej czynności Bertillon wprowadził ścisłą nomenklaturę, jako to: podważanie (za pomocą drąga), włamywanie przez t. zw. „pazur", łupanie itd.

Niezmiernie ciekawe są fotografie deformacyi, wywołanych temi praktykami, które zgromadził Bertillon z dołączeniem wszystkich danych liczbowych, tyczących się odpowiedniego doświadczenia. Zastosowanie siłomierza do określenia wysiłku przy włamywaniu jest tak proste, że dziwić się należy, iż dziś dopiero weszło ono w użycie. Rzeczą biegłych sędziów śledczych jest wywnioskowanie z całokształtu danej sprawy, czy przestępstwo spełnił jeden osobnik, czy też kilku; czy sprawczynią mogła być kobieta lub nawet dziecko. W każdymbądź razie siłomierz Bertillona jest przyrządem pomocniczym, który może oświetlić niejedną krwawą i zawikłaną tajemnicę.

Droga powietrzna do Ameryki.

Jednocześnie z szybkim i wszechstronnym rozwojem aeronautyki powstają plany i przedsięwzięcia, których urzeczywistnienie mieć będzie epokowe znaczenie cywilizacyjne. Wyprawa balonowa do bieguna północnego jest jednem z takich zamierzeń, nad którem pracują najprzedniejsi uczeni i praktycy. Ostatnio zaś dziennikarz amerykański, Brucker, rzucił myśl urządzenia podróży powietrznej po nad oceanem Atlantyckim, stwarzając w ten sposób nowe połączenie Starego Świata z Nowym. Specyalny komitet finansowo-techniczny przystąpił już do wykonania tego śmiałego projektu. Widoki powodzenia takiej wyprawy zależą przedewszystkiem od „warunków atmosferycznych i klimatycznych", w których odbywać się będzie. W danym przypadku tylko strefy umiarkowane i gorące mogą być wzięte w rachubę. Szczegółowe badania warunków atmosferycznych doprowadziło do decyzyi przzdsięwzięcia wyprawy w porze zimowej. Niezmiernie ważny jest także wybór miejsca odjazdu i wylądowania. Jako najodpowiedniejszy punkt wskazują wyspę Maderę albo Tenerifę. Przejazd powinien trwać maksymalnie około stu godzin, balon jednak jest obliczony, że wszelkich zapasów (gazu, benzyny itd.) starczy na daleko dłużej. Wylądowanie nastąpi zapewne na jednej z wysp Indyi wschodnich.

Balon nie będzie posiadał zwykłej formy cygara, lecz elipsoidu o długości 50 metrów i największej średnicy 15 m. Na miejsce zwykłej gondoli, zawieszona będzie łódź parowa o długości 9 i szerokości 3 metrów. Umieszczony w dole silnik będzie poruszał śmigę powietrzną, a w razie potrzeby śrubę okrętową. Jest to więc kombinacya aerostatu motorowego i statku parowego, ażeby w każdej chwili moc poradzić sobie w tej ryzykownej wyprawie i nie być na łasce lub nie łasce rozszalałych elementów oceanu.

Jakie „znaczenie praktyczne" może mieć urzeczywistnienie tego kolosalnego projektu? Nie mówiąc już o czysto sportowej stronie całego przedsięwzięcia (miał to być punkt kulminacyjny wypraw powietrznych w r. b.) otwierają się w danym przypadku horyzonty równie wielkie i nowe, jak pociągające. Przy szybkości aerostatu około 20 metrów na sekundę (liczba, którą już zdołano osiągnąć) i średniej szybkości potasu — 7 metrów na sekundę, będzie mógł nowy statek powietrzny przebyć w ciągu 24 godzin 2,330 kilometrów i tym sposobem „w 50 godzin dosięgnąć wybrzeży nowego świata." Jaki przewrót w stosunkach wywrzeć może tego rodzaju „stała" komunikacya, łatwo, a raczej bardzo trudno, dziś sobie wyobrazić.

Mówiące pocztówki.

Ostatnią nowością w zakresie kart korespondencyjnych z widokami, są karty mówiące. Zwykła karta z widokiem jest z wierzchu powleczona specyalną masą, na której ryje ślady rylec gramofonu. Wynalazca skonstruował umyślnie aparaty, które mogą być w każdym lokalu. Chcący wysłać kartę, wrzuca do otworu monetę, a potem mówi do tuby. Zapisana karta wypada z odpowiedniej szczeliny i może być przesłana jak zwykła karta pocztowa. Odbiorca zakłada ją do miniaturowego gramofonu, nastawia sztyft, puszcza aparat w ruch i słyszy dosłownie wyrazy swego korespondenta. Masa jest tak wytrzymała, że nie niszczą jej ani pieczęcie pocztowe, ani zwinięcie,

ani nawet złożenie przez pół. Wobec coraz większego rozpowszechniania małych gramofonów, które nabywać można już w cenie kilkunastu koron, wynalazca spodziewa się, że ten najżywotniejszy środek korespondencyjny znajdzie ogromne zastosowanie.

Pies jako dobroczyńca.

Dziwna rzecz, dlaczego imię psa uważane jest u ludzi za obelgę? Słyszymy nieraz przez czułość mówiących w pieszczotliwym lub żartobliwym sposobie: Moja gołąbeczko, a nawet: mój koteczku — chociaż kot jest z natury chytrym i obłudnem zwierzęciem. Kiedy się zaś kto rozgniewa, psem nazywa znienawidzonego człowieka. Turcy nawet bez gniewu mówią na chrześcian ze wzgardą: psy chrześcianie! Pospólstwo angielskie, widząc człowieka, mającego postać mieszkańca z nad brzegów Sekwany, albo Loary, woła na niego zazwyczaj: pies francuski.

Ciemne pospólstwo ma w zwyczajnem użyciu wyrażenie: ty, psia wiaro! chociaż biedny pies, tak lżony, nigdy jeszcze nie złamał wiary temu, kto go wychował od szczenięcia. Przeciwnie — skoro widzimy codzienne podstępy i zdrady między ludźmi, to owe psy pogardzone, gdyby mówić umiały, w kłótni pomiędzy sobą, przy wyrzucaniu zdrady, pewnoby trafniejszego wyrażenia użyć nie mogły, jak wołając: Ty ludzka wiaro!

Do tylu cnót, jakie psom przyznajemy z doświadczenia, należy dodać i litość, która jest matką dobroczynności, siostra przyjaźni.

Następujący wypadek, przed końcem wieku zeszłego, wydarzony w Lublinie, najlepszym tego będzie dowodem. Pewien mieszkaniec tamtejszy wychował sobie pudla i tak go doskonale w zręczności do różnych posług wyćwiczył, że codzień rano wysłał go z serwetką i pieniędzmi po dwie bułki. Po niejakim czasie ów pudel zamiast dwóch bułek zaczął przynosić tylko jednę. Z początku podejrzenie padło na przekupkę, lecz ta zapytana najuroczyściej zaręczyła, iż codzień podług zwyczaju, dwie bułki zawiązuje w serwetkę i oddaje pudlowi.

Właściciel psa, celem zbadania prawdy, zaczął go wówczas śledzić. I cóż się okazało? Oto pudel, odebrawszy rzeczywiście dwie bułki, zamiast udać się wprost ku domowi, biegł z niemi na oddaloną uliczkę do pewnych pustek. Następnie wydobywszy z serwety jedną bułkę, karmił nią schorzałego, wynędzniałego starego psa, który tam leżał.

Ujrzawszy swego pana, który niepostrzeżenie za nim się udał, zaczął wydawać pisk żałosny, czołgać się u jego nóg, jakby błagając o przebaczenie za nadużycie swej powinności.

Odtąd właściciel pudla dawał mu pieniędzy na trzy bułki, a pies wierny swemu uczuciu, zrozumiał go lepiej, niż inny człowiek, i dopóty mu zawsze po dwie bułki przynosił, dopóki stary nędzarz potrzebował od niego trzeciej; w dniu, gdy zdechł, pudel przyszedł do domu z trzema bułkami.

Iluż z pośród ludzi mogłoby się zawstydzić, że tego pudla naśladować nie potrafią!

TO I OWO.

„Wypadek" z wielbłądami.

Były urzędnik kontroli państwowej w Petersburgu, Miller, opisuje w pewnem piśmie rosyjskiem następujące charakterystyczne zdarzenie:

Jako urzędnik w Turkiestanie, otrzymał pewnego dnia od swej władzy przełożonej polecenie udania się do Kirył-Arwal w celu odbioru zakupionych na rachunek rządu 50 wielbłądów po 75 rb. sztuka. Po przybyciu na miejsce udał się do komendanta, pułkownika Sułtanowa, który przyjął go bardzo serdecznie i przedewszystkiem zaproponował przekąskę. Miller rad jednak był zobaczyć najpierw wielbłądy.

— To będzie trochę trudno — zauważył pułkownik jowialnie.

— Dlaczego? — Przecież przybyłem specyalnie w tym celu?

— Pułkownik wymawiał się, a w końcu wydobył z portfelu jakiś zatłuszczony świstek papieru i pokazał go kontrolerowi, dodając, że jest to pokwitowanie od Tatara za otrzymane za wielbłądy pieniądze.

— Tak, ale gdzie wielbłądy? — nalegał Miller. — Pokaż mi pan wielbłądy.

— Wielbłądy? — Jakże to panu powiedzieć?.. bo widzi pan zdarzył mi się wypadek...

— Co za wypadek?...

— Posłuchaj więc pan. Kupiłem wielbłądy w zeszły czwartek od Tatara. Pieniądze co do grosza wypłaciłem; oto pokwitowanie. Serce mi skakało z radości, kiedym patrzał na te wesołe stworzenia. Aż tu nagle w sobotę zachorowuje

jeden, potem drugi, trzeci: do wieczora zamiast wielbłądów mam same trupy: pozdychały wszystkie, co do nogi. Nie wierzy mi pan?.. Jak Boga kocham prawda. Spisałem protokół. W nocy pozbierałem je wszystkie do kupy. Tatar może zaświadczyć bo mi pomagał!..

— Cóż się jednak stało ze skórami?

— Ze skórami?... Widzi pan, ze skórami miałem znowu wypadek. W nocy wiał straszny wiatr i zasypał piaskiem wszystkie trupy, to też nie opłacało się wcale ściągać skóry. Zakopaliśmy je wszystkie, ot tam, pod tym pagórkiem. Tatar może zaświadczyć, bo mi pomagał.

— To każ pan je przynajmniej odgrzebać, muszę się przecie przekonać...

— Po co, drogi panie? Daj im pan spokój. Oto jest pokwitowanie. Czy to nie dosyć? My tu plujemy na takie głupstwa.

— Zrozumie pan jednak, że muszę spisać odpowiedni protokół?

— Protokolik?... Ale i owszem... Spiszmy protokolik. Co to może szkodzić?... Papier poczciwy jest cierpliwy. Spiszemy wszystko bardzo pięknie i wyszlemy do Petersburga, a zanim stamtąd powróci, kto wie, gdzie my wtedy będziemy... Ale może teraz wódeczki?...

Miller dodaje, że rzeczywiście nic więcej o wielbłądach tych już nie słyszał.

Jak długo może żyć człowiek.

Niezwykłym jest fakt, iż w dziejach rozmaitych narodów znajdujemy podania o bajecznie starych ludziach. Najlepszy przykład za wszystko stanowi tak często wymieniany Mathuzalem. Chińczycy również utrzymują, że ich pierwsi cesarze rządzili ponad 100 lat z górą. Kto jednak ma skłonność, aby niczemu nie wierzyć, o czem się na własne oczy nie przekonał, ten także i tym wypadkom, które się dziś zdarzają, wiary nie da. Ale trzeba to wziąć na uwagę, że jeszcze i obecnie nie jest stwierdzoną rzeczą, jak długo człowiek może żyć. Od czasu do czasu pojawiają się opowiadania o ludziach, którzy osiągnęli wiek 130 lat a nawet 140, ale rzeczywistych dowodów na to w statystyce niema. Niejednokrotnie statystycy rozmaitych krajów wypowiedzieli swoje przekonanie, że jest wątpliwą rzeczą, czy ktoś kiedykolwiek doszedł do wieku 110 lat, lub co więcej wiek ten przekroczył. Po prawdzie granicą starości jest wiek około 105 lat. Jest to szczególnem, ale prawdziwem, że lepiej znamy granicę wieku wielu zwierząt niż człowieka.

Nie trzeba też zapominać, że u wielu narodów statystyka życia ludzi jest źle zestawianą, i że wielu jest jeszcze na ziemi ludzi, którzy nie są w stanie podać własnego wieku lub dnia swego urodzenia. O kwestyi długości życia traktują dziś dwie naukowe teorye. Jedna z nich mianowicie wychodzi z założenia, że maszyna życia ludzkiego w każdym z osobna wypadku, lub w obrębie całej rodziny z góry jest ustanowioną do pewnego ściśle oznaczonego wieku, do którego człowiek naturalnie dochodzi tylko wtedy, skoro jakieś nieszczęście wcześniej jego pasma żywota nie przetnie. Druga znów teorya oświadcza, że życie człowieka trwa tem dłużej, im powolniej dojrzewa on, czyli innemi słowy, im powolniej następuje jego rozwój.

Smutna przygoda kolonisty.

Niezwykły wypadek zdarzył się podczas polowania w Miączniku pod Śremem. Kolonista Uhr postrzelił rogacza, tak że ten upadł na ziemię. Gdy jednak Uhr podszedł do niego, rogacz nagle podskoczył i rzucił się na kolonistę. Przytem rogi jego zaplątały się w pas fuzyi, która wypaliła i nabój strzaskał koloniście nogę. Rogacz zaczął z fuzyą uciekać, lecz wkrótce upadł. Kolonistę odwieziono do lazaretu, gdzie po kilku godzinach umarł.

Jaskółki giną.

Smutne wiadomości nadchodzą z Woch, Hiszpanii i Francyi. Oto w tym roku w całej Francyi nie zauważono ani jednej jaskółki, to samo we Włoszech. Jaki jest powód tego wymierania tych ślicznych ptasząt? Jedni uczeni przypuszczają, że jakaś choroba, jakaś zaraza, która je zmiata. Drudzy, że ludzie je tak wyniszczyli, mianowicie we Włoszech, gdzie łowią je sieciami i tysiącami zabijają. W każdym razie od egzystencyi jaskółek zależy egzystencya rodzaju ludzkiego, bo jaskółki niszczą miliony much i komarów. Od komarów zaś zależy rozmnażanie się u nas malaryi, od

much zaś rozmnażanie się tyfusu, raka, szkarlatyny, dyfteryi, ospy czarnej i t. d. Im więcej much i komarów, tem większa śmiertelność ludzi, im więcej więc jaskółek, tem mniej much i komarów a więcej ludzi. Tymczasem właśnie liczba jaskółek stale się zmniejsza, a tym roku tak raptownie się zmniejszyła w Europie, że przeraziło to uczonych i przyrodników. Należałoby więc, żeby nasi ziemianie po wsiach starali się otoczyć jaskółki jak największą troskliwością.

DLA ROZRYWKI

Ciężar.

W Anglii zbudowano olbrzymi okręt, obliczony na przewóz 1.350,000 pudów towaru. Gdybyś zwiedzał ten statek raz na tydzień i pierwszego razu rzuciłbyś jedną szpilkę, za drugim razem dwie, za trzecim cztery szpilki i t. d., podwajając za każdą wizytą liczbę szpilek, to czy po upływie roku, czyli 52-ch tygodni, zatonąłby okręt, czy nie?

Odpowiedź. Zatonąłby przed upływem roku, nie byłby bowiem w stanie wytrzymać ciężaru szpilek, których liczba wynosi 4.503,599.627,370.495, waga zaś około pudów 37.697,541.480!

Porównania.

Gra towarzyska.

Kierownik siada w środku koła, pisze na kartce wyraz dowolny i kartkę chowa do kieszeni. Osoby pozostałe piszą również na kartkach jakiekolwiek wyrazy i złożone kartki oddają kierownikowi, który wrzuca je do kapelusza, tasuje i rozdaje obecnym. Teraz otwiera swoją kartkę i wygłasza swój wyraz, a każdy powinien zespolić go w trafnem porównaniu z wyrazem, jaki posiada na otrzymanej kartce. Np. jeżeli kierownik napisał *słońce,* a ktoś ma wyraz *róża,* to może powiedzieć: „*słońce,* pośród gwiazd to *róża,* pośród kwiatów;“ inna osoba, mająca wyraz *nurek,* powie: „*nurek,* jak *słońce,* codziennie zanurza się w morzu;“ inny, mając *deszcz* na kartce, może wygłosić takie porównanie: „i *słońce* i *deszcz* ożywiają rośliny“ itp. Kto nie zdobędzie się na trafne porównanie, płaci fant.

Anegdoty.

Ślepa babka.

(Figiel warszawski.)

Trzej warszawscy dandysi, goli jak święci tureccy, zrobili pyszny figiel. Poszli do restauracyi, zajęli gabinet, kazali sobie podać co najprzedniejsze jadło i trunek, a kiedy przyszło do zapłacenia, nie mogli się niby zgodzić, kto ma uregulować rachunek; wobec garsona każdy chciał być pierwszym.

— W takim razie — mówi jeden — ja nie ustąpię, niech przynajmniej los rozstrzyga tę sprawę. Zawiążmy oczy garsonowi i niech gra z nami w ślepą babkę, którego z nas schwyta, ten zapłaci.

— Brawo! — rzecze drugi, podczas gdy trzeci zawiązywał oczy usłużnemu garsonowi.

Gdy ten biega po gabinecie starając się pochwycić amfitryona biesiady, nasi paniczkowie wynoszą się jeden za drugim cichaczem.

Niebawem właściciel restauracyi wszedł do gabinetu, a garson, chwytając go wpół zawołał:

— Pan dobrodziej zapłaci, pan dobrodziej!

— Tableau!

Qui pro quo.

Pewien jegomość z pod Bełchatowa zaprenumerował sobie „Kuryer Warszawski“, a nie wiedząc, że kolumny trzeba czytać każdą z osobna po kolei, zaczął czytać dodatek przez całą szerokość, skutkiem czego przyszedł do następnych rezultatów:

Wiersz 1. Od czasu jak mężczyźni dowiedzieli się, że utrzymanie żony lalki... na pierwszem piętrze od frontu z osobnem wejściem jest każdego

czasu... w dobrym stanie do obejrzenia altówka i waltornia dobrej rasy młode, jedna z nich na ocieleniu.

Wiersz 2. Wielce korzystny interes!... jutro, jako w czwartą bolesną rocznicę... odbędzie się u akuszerki Bracka nr. 6... z młodym i świeżym pokarmem... dubeltówka znakomitej wartości systemu Lefauché.

Wiersz 3. Nauczyciel kaligrafii... utrzymujący skład masła, sera i mleka zsiadłego. Dojenie krów odbywa się... w komitecie Towarzystwa Muzycznego.

Wiersz 4. Handel braci X. X... który udziela porady w sprawach cywilnych i rozwodowych... jako też poleca się do froterowania posadzek.

Wiersz 5. Kasztanowaty buldog... z bardzo porządnej familii, niedawno z prowincyi przybyły... operuje nagniotki bez użycia ostrych narzędzi... po cenach fabrycznych lub na wypłatę...

Wiersz 6. Bona z dwoma językami... i czarnym płatkiem na grzbiecie... kaftaniki z wełny sosnowej.

Wiersz 7. Panienka, posiadająca patent... wybiegła w czwartek wieczorem na ulicę... odkrytą została przez miejscowe obserwatoryum; kometa ten... łatwy jest do poznania, brakuje mu bowiem dwóch zębów u górnej szczęki.

Łamigłówki.

Logogryf.

Ułożył czytelnik Bol. K. z Poznania.

Z sylab: po—ny—di—no—radz—ar—tok—new—o—ton—in—er—ka—marz—wa—mi—sie—fant—lau—dy—ka—niec—ła—on—ki zestawić 10 wyrazów. Początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, wyrażają znane polskie przysłowie ludowe.

Znaczenie wyrazów:

1. Mała rzeka.
2. Rzeka we Włoszech.
3. Słynny matematyk angielski.
4. Malarz polski.
5. Napój (narkotyk).
6. Tytuł na dworze hiszpańskim używany.
7. Miejscowość, słynna winem, na Węgrzech.
8. Poeta polski.
9. Naczynie do inkaustu.
10. Boginie wodne w pogańskiej Litwie.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 8. września na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 38.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 34.:

I. **Szarada:** Ka—ra—wa—na.

II. **Zagadka.** A—ster.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Czytelnia Robotników Salinarnych w Wieliczce, Marya Dunicz, T. Francké, Zygmunt Gaudnik, L. Goettel, Jan Habela, Marya Janiszewska, Walerya Jankowska, Leszek Jaworski, Fr. Kądziela, E. Lamiński, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz, Romuald Kulczycki, Brunon Marcinkowski, Kazimierz Nowosielski, W. Nowosielecki, K. Ołpiński, Józef Poncza, Piotr Stolarzewicz, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Bronisława Szkaradkówna, Franciszek Szmater, W. Tarnowska, Władysław Trybała, Anna Wełnianka, Józef Zontek.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. „Błędne Koło“, Tomasz Cichowski, Franciszka Garczyńska, „Janek z pod Góry Przemysława“, Mieczysława Jarmużówna, Halinka Jordanówna, Marya Konopińska, Zygmunt Krajewski, A. Kujawski, Prakseda Malinowska, Stanisław Markowiak, J. Olejniczak, Elżbieta Owczarczak, Piotr Promiński, Tadeusz Przybyszewski, Halina Rucińska, Zofia Sellówna, Zofia Stachowska, „Stanisław z nad Gopła“, Helena Turska, Zofia Wachowska, T .Walińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Stefania Dużyńska (Nowa Wielce-Brandenburgia), Hieronim Jaworowski (Drezno), Józefa Matuszewska (Ryńsk), Róża Otto (Agram — Kroacya), Emilia Świątkowska (Monachium — Bawarya).

Nagrodę otrzymali:

pp. Bronisława Szkaradkówna (Morawczyn p. Nowy Targ), Stanisław Markowiak (Przysieka Niemiecka pow. Kościański), Tomasz Cichowski (Wełnowiec — Górny Śląsk), Henryk Królicki (Krościeńko — Galicya).

Uwaga: *Przy rozdawaniu nagród nie uwzględniamy pseudonimów.*

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 36

(Ciąg dalszy).

— To istotnie kuszące i wybór łatwy. Któżby się wahał, czy być koczkodonem, czy być wielbioną przez warszawiaków i zdobyć szczęście z Goldmarkiem! Pan mnie upaja swemi pochwałami! Podobna przyszłość może mi w głowie do cna zawrócić!

— Pani drwi, a jednak ja oto dziś w tej chwili założę się z panią, że do przyszłej wiosny będzie pani kochała i będzie pani kochaną. Proszę się nie srożyć, nie piorunować zuchwalca. To się stać musi, inaczej byłaby pani potworem, kalectwem, istotą bez duszy, bez nerwów, bez myśli, nawet bez poczucia honoru!

— Szczególnie to ostatnie! — uśmiechnęła się pogardliwie.

— Szczególnie! Honor nie znosi obrazy i krzywdy. Jakże? Trzyma pani zakład?

— Nie, bo nie żartuję z uczuć, ani się niemi bawię.

— Nie bawisz się? — to posłyszał i podjął prezes, skończywszy dysputę z radzcą.

— Ależ, owszem, tatko! Pantomina była śliczna.

— Ano, teraz zobaczymy tę sławną Karolę.

Antrakt się skończył, do jednej z lóż weszło kilku panów, poczęto się im przyglądać, jako znanym sportsmenom i szykowcom.

— Jest i Kołocki z Kociem! — zauważył prezes lornetując.

Wśród burzy oklasków wbiegła na arenę żonglerka, cała, jak wąż złocisty, w błyszczących trykotach, zamigotały brylanty w uszach i na szyi, sypnęły się na nią kwiaty.

Ukłoniła się, obejmując salę zalotnem spojrzeniem, zatrzymała oczy dłużej na loży paniczów, posłała im od ust całusa i uśmiech i zwinna, gibka, poskoczyła na środek areny, chwyciła za trapez i jak pająk złocisty, po niciach sznurów, poczęła się piąć ku górze.

Kazia odwróciła oczy, wstrząsnął ją dreszcz zgrozy, publiczność wydawała okrzyki podziwu, akrobatka była niezrównana.

Kładła się na sznurach i tańczyła, rzucała się w głąb zawrotną, chwilami wisiała, zda się, w powietrzu. Chwytała i ciskała tysiące przedmiotów.

Przemógłszy się Kazia, śledziła ją. Wzrok miała bardzo bystry, widziała wyraźnie naprężenie

muskułów, falowanie piersi, widziała nawet, że spoglądała często na lożę, uśmiechała się, dawała znaki, jakby czekała na coś.

Nagle hrabia Kocio sięgnął do kieszeni, dobył niewielki błyszczący przedmiot i cisnął go w górę.

Zamigotał, jak gwiazda, i stało się coś w błyskawicznej sekundzie.

Jak pająk Karola rzuciła się na łup, chwyciła go w powietrzu, wydała okrzyk, zawirowała w próżni i jednocześnie z okropnym krzykiem całej publiczności spadła na piasek areny. W jednej chwili tumult się uczynił, tłum ją otoczył, porwano ją na ręce uniesiono. Kobiety mdlały i szlochały, mężczyźni wołali: czy żyje? popłoch ogarnął cały cyrk, orkiestra umilkła, loża sportsmanów była pusta.

Kazia blada jak płótno, zagryzła wargi, patrzała machinalnie na arenę, gdzie ciemniała niewielka plama krwi.

Większość publiczności, gotowa do wyjścia, czekała tylko grobowej wieści.

Radlicz wyszedł!

W tem orkiestra zaczęła znowu grać, poczęto sykać chwilę, potem się uciszono.

— Chodźmy tatko! — szepnęła Kazia.

Prezes wzburzony ledwie ochłonął z wrażenia.

— Jak się to stało, bo nie uważałem? — pytał, torując jej drogę wśród tłoku.

— Bransoletę jej cisnął! Także koncept — ktoś mówił przed nimi. — Powinien sądownie odpowiadać, ale taki się ze wszystkiego wykręci.

— Panicz, gdzie to rzuca pieniądze, a na wpisy to rubla nie da! — ktoś warknął.

— Zabita pewnie. Mój Boże, dla marnej bransolety!

— Głupia, mogła ją dostać u siebie w buduarze.

— Coprawda, za kim to ludzie szaleją. Żadna piękność, tyle, że zagraniczna!

— Widzisz Jasiu, czem się kończą łamane sztuki. A ty wiecznie na głowie chodzisz i na oknie się huśtasz! Widzisz, jak nie wiele do nieszczęścia potrzeba.

— Jutro rano w Kuryerze będzie.

Wśród tysiąca urywanych zdań, wydostali się do kontramarkarni. Tu tłum rzedniał, oddychał swobodniej.

— Pójdziemy na kolacyę do Europy.

— Maniu, a gdzie pan Władysław?

— Mój drogi, czy wracamy razem?

— Wstąpię do klubu.

— Wiecie, znajdziemy jeszcze partyjkę u Lisieckich.

— Dlaczego to Malwina zawsze bywa tylko z ciotką?

— Nie wiesz, kto się witał z Morskiemi?

— Jazda do Łazienek! Siadajcie panienki!

Nareszcie wydostali się na ulicę i w tej chwili zjawił się Radlicz.

— Ledwiem państwa dogonił!

— No i cóż? — spytał prezes.

— Aus! — rzekł krótko malarz.

— Hrabia może mieć grubą nieprzyjemność.

— Żadnej, już parę razy to było. Wszyscy o tem wiedzieli, ona się w ten sposób nim i sobą popisywała! Nie udało się! Bransoletę chwyciła jednak i tak ścisnęła w ręku, że siłą musiano wydrzeć.

— Kto? — spytała Kazia.

— Jej matka, dziedziczy po niej.

— Cóż hrabia? — rzekł prezes.

— Struty. Klął, obiecał matce wziąść na siebie wszystkie koszta i pojechał z Kołockim.

— Jakkolwiekby to było, rad jestem być w swojej skórze, a nie w jego! — zakończył prezes.

— Żegnam państwa! — ukłonił się malarz.

Oni wsiedli do powozu, on poszedł pieszo.

Wcześnie jeszcze było, rozmyślał, co robić z resztą wieczoru.

Różne twarze i postacie kobiece majaczyły mu w myśli, nie mógł się na żadną zdecydować. Tak idąc zamyślony, potrącił kogoś, spojrzał, był to Andrzej Sanicki.

— Dokąd?

— Szukałem Markhama, siedzi u Dąbskich. I po co on sobie tę gęś bierze?

— Ano, ma wenę czy pech — kocha się w pannie z towarzystwa!

— W czem ty widzisz wenę czy pech?

— Ano, może się z nią ożenić, mieć, trzymać, ludziom się pochwalić. Całe życie kocham się w mężatkach, djablo mi to czasem dokuczy, jak kłusownictwo królowi kurkowemu. Zazdroszczę mu! A pech? Ano chwal się tu i ciesz, i pilnuj jednej całe życie! Podle jest świat urządzony! Wiesz, idę z cyrku. Karola się zabiła. Mgli mnie dotychczas, pójdź chyba do knajpy!

— Zabiła się? Nie widziałeś mego starego i żony?

— Owszem. Wyszliśmy razem. Ale była chwilę i pani Celina.

— Sama? — spytał żywo Andrzej.

Radlicz sekundę się zawahał.

— Chyba, że sama, nie uważałem.

Andrzej stanął.

— Maksa nie było?

— Nie uważałem! — powtórzył Radlicz.

— Dobranoc ci! — mruknął Sanicki, skręcając na Królewską.

W domu nie spodziewano się go. W małym gabinecie prezes czytał gazety, Kazia naprzeciw niego szyła bieliznę dla protegowanych Ramszycowej.

Gdy wszedł, spojrzała na niego prawie z przestrachem, prezes z podziwem.

— Co się stało? Czy i w teatrze ktoś się zabił?

— Nie, alem się znudził. Mam głowę zajętą interesami, poszedłem do Markhama.

— On dziś u Dąbskich — wtrąciła Kazia. Może pan bez kolacyi.

— Bez.

Wstała natychmiast i wyszła.

Po chwili znalazł w jadalni zastawioną przekąskę, Kazia gospodarzyła przy bufecie, podała mu sama herbatę.

Spojrzał na nią i poczuł wyrzut sumienia za szorstką rozprawę na ulicy. Postanowił być uprzejmym.

— A zatem pojutrze wizyty — rzekł. — Zaczniemy od wujostwa Dąbrowskich. Brat mojej matki i jego żona, dwoje bezdzietnych smakoszów. Druga wizyta gorsza, u Wolskich — brr, co za osie gniazdo. Stary safanduła, pięć córek starzejących w panieństwie, i matka, zła za sześć! Tam z góry nienawidzą pani.

— Mnie?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo roili całe lata, że się z jedną ożenię i wszystkie kochały się we mnie.

— Musimy tam bywać?

— Jakże! krewni, cioteczna siostra matki.

— A ojca rodzina?

— Jest stryj, urzędnik w Banku. Ma młodą żonę i czworo dzieci, katów i wisielców zarazem, bo katują rodziców, a warci wszystko czworo szubienicy, tak są niesforne, rozpuszczone i samowolne. Ojciec tam nigdy nie bywa, bo go to zanadto drażni, ja czasami chodzę, jak do domu waryatów. Będziemy potem u Markhamów, Winnickich, u Dąbskich, u profesora Kęckiego.

— U doktora Downara? — szepnęła.

— Owszem, ale ja tam nie lubię bywać! On mruk, ona jędza!

Prezes, zdziwiony rozmownością syna, wszedł do jadalni.

— Dajno i mnie, córuś herbaty! — rzekł wesoło. — Starzeję — coraz mi lepiej w domu — z wami!

— Jeszcze ojciec partyi do winta nie dobrał! — zaśmiał się Andrzej.

— W tym roku zbiorę winta u siebie. Mamy gospodynię, trzeba ludzi ugościć.

— Winszuję! Fiks — w niedzielę może! No, mam nadzieję, że gospodyni pierwsza zaprotestuje.

— Ja? Przeciw ojcu! Cóż znowu!

— Przeciw mnie zatem! — spojrzał na nią już niechętnie, i spotkali się oczami.

Zatrzymał na niej wzrok raz pierwszy uważniej.

— Jakie to młode! — pomyślał i wzrok mu złagodniał.

— Pani sama nie lubi tłumu i nie da sobie rady z temi fiksami! — dodał. — Ja bezwarunkowo nie będę miał czasu na tę cotygodniową pańszczyznę.

— No, no, nie buntuj się przed czasem! — rzekł prezes. — Na dziś dobranoc, dzieci!

Zegar wybił jedenastą.

Stary wyszedł, Kazia sprzątała w bufecie, Andrzej siedział zamyślony, paląc papierosa.

— Była z Maksem w cyrku! — myślał i czuł dziką wściekłość, chęć zemsty, dokuczenia sobie i swej miłości zdradzonej.

— Dobranoc! — rzekła Kazia.

Wstał żywo i podał jej rękę. Trochę zdziwiona, wyciągnęła dłoń do uścisku. Zatrzymał ją i spojrzał jej w oczy.

— Niktby nie uwierzył, żem od sześciu tygodni żonaty i nie znam ust mojej żony! — rzekł.

Poczerwieniała gwałtownie, cofnęła rękę, źrenice jej zamigotały gniewem.

— Ale sumę, dla otrzymania której z woli matki swej pan się ożenił, dostał pan.

— Zapewne, ale i żonę mam — a nie chciałbym być śmiesznym mężem.

Odwróciła się i wyszła.

On począł chodzić po pokoju wzburzony, wściekły, mrucząc coś przez zęby, wreszcie zadzwonił na lokaja, kazał gasić światło i wyszedł.

IV.

Kazia ubrana na wizyty, zajrzała do gabinetu teścia, żeby się pożegnać.

Obejrzał krytycznie jej strój i wygląd.

— Suknia dobra, aleś ty, córuś mizerna i blada, i oczki zmęczone, jakby płakały. Co ci? Straszno? Czyś niezdrowa?

Poczerwieniała, próbowała się uśmiechnąć.

— Trochę straszno, ale się oswoję. Do widzenia.

W przedpokoju Andrzej na nią czekał, milczący, chmurny.

Zeszli, wsiedli do powozu, i jechali obok siebie nie mówiąc ani słowa.

Gdy wysiadali na Chmielnej, chciał jej podać rękę, usunęła się z widoczną niechęcią i weszła w bramę.

Dąbrowscy mieszkali na drugiem piętrze, otworzyła służąca i powitała Andrzeja, jak domowego.

— Są państwo oboje. Proszę do sali!

Przedpokój był ciemny, jak zwykle — jak zwykle też mieszkanie miało specyalny zapach warszawskich mieszkań, mieszanina naftaliny, gazu i kuchni. Sala miała stereotypowe meble, dywan, lampę na stole, przykrytym serwetą, fortepian, na którym nikt nie grywał, na oknach dwie palmy, które mogły być równie dobrze blaszane, lub papierowe, tak były sztywne i zakurzone.

— To ty, Andziu! — rozległ się zasapany głos kobiecy, i do sali wtoczyła się Dąbrowska, wołając żywo do służącej — budź pana!

— Przyszliśmy z żoną złożyć wujostwu uszanowanie — odparł Andrzej, pochylając się do ręki ciotki.

— Jak się masz, witam, jakżem rada! Pozwól się uścisnąć, moje śliczne dziecko. — Objęła Kazię w ramiona, przytuliła do łona, potem przyjrzała się jej uważnie.

— Ślicznąś wynalazł sobie kobietkę, co za cera zdrowa, niema to jak wiejskie dziewojki. Jakże ci się podoba w Warszawie, pozwolisz starej ciotce nazywać się po imieniu.

— Ależ cioclu, dziękuję za tę łaskę! — odparła Kazia.

Wejście Dąbrowskiego wznowiło powitanie. Ten, ze staroświecką galanteryą ucałował nową siostrzenicę w rękę, powiedział, że jest jak róża, i — zapytał jak jej się podoba w Warszawie..

Potem usiedli na sztywnych fotelach i rozmowa się rozstrzeliła.

Dąbrowski począł rozpytywać Andrzeja o interesa, Dąbrowska zabawiała Kazię, a raczej ściągała z niej egzamin.

— Słyszałam, żeś odprawiła Janów? Kogóż masz na ich miejsce! O kucharki strasznie trudno. Czy kontrolujesz ją trochę? Byle poczuła, że pani młoda nie zna się na cenach, obdziera ją na każdej marchewce.

— O ile mogę, sprawdzam!

— Jakże? Ile płacisz drób? A masło? Moje dziecko, to nie dość wiedzieć, że kaczka cztery złote, a kura rubla, ale jaka kaczka, jaka kura! Na to trzeba lat doświadczenia. Nie chwalę się, ale jak ja się na tem znam! Ha, czterdzieśli lat jestem gospodynią. A masło!

— Masło mi ojciec przysyła.

— Dobre? centryfugowe? Poproszę cię o próbkę, może i mnie ustąpisz. Masło to grunt, to zdrowie. Zapasy na zimę będziesz pewnie robić, służę ci radą we wszystkiem. Spytaj o konserwy Dąbrowskiej. A twoi panowie wybredni, o znam ich, ci mają smak i gust. Naturalnie w miodowych miesiącach wszystko się gospodyni wybacza, ale potem rachuj na mnie, ja cię wszystkiego nauczę. Ach wy, wieśniacy, rajskie macie życie, i za darmo. Jaki nabiał, a jaja po czemu?

W ten sposób rozmawiały pół godziny.

Nareszcie Andrzej dał hasło odwrotu, ale jeszcze zeszedł kwadrans, zanim się pożegnali, obiecawszy przyjść w niedzielę na obiad, dany na ich cześć.

Dąbrowska jeszcze przeze drzwi wołała:

— A nie zapomnij przysłać mi próbki masła.

— Przyjemna szykuje się niedziela! — mruknął Andrzej — obiad familijny.

Przy wsiadaniu do powozu znowu jej chciał podać rękę, usunęła się, tedy wybuchnął:

— Trędowaty nie jestem, nie zarażę dotknięciem.

Milczała.

— Czy pani postanowiła mi nie odpowiadać?

— Pan o nic nie pytał.

— Pytam zatem, czy pani nie raczy ze mną mówić?

— Bez koniecznej potrzeby nie!

— Ostrzegam, żeby to pani na złe nie wyszło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Oddział ten z niemniej różnorodnych żywiołów był złożony, wchodzili doń nawet zbiegowie z angielskiego wojska, ale na wszystkich wkładano warunek ślepego posłuszeństwa, przyjmując.

Pułaski nieubłaganym był w przestrzeganiu karności wojskowej.

Wiosna 1778 r. nie polepszyła położenia Washingtona i wojsk amerykańskich. Stan był zawsze ten sam, brak najpierwszych potrzeb życia, trudy do znoszenia wielkie, pochody nużące, wyczerpywały najdzielniejszych.

Washington jako wódz, miał nieprzyjaciół usiłujących go obalić, podkopujących u kongresu, czerniących niepokalany jego charakter... ale znosił to wszystko wielką prawdziwie duszy potęgą.

Co chwila oczekiwano stanowczego ogłoszenia się Francyi za sprawą Ameryki; na sam odgłos o tem Anglia gotową była do ustępstw, w obawie zupełnej kraju utraty. Stronnictwo pokoju i przejednania potajemnie usiłowało obalić Washingtona — ale kongres pojmował swe obowiązki i uwieść się nie dał. Traktat z Francyą został nareście podpisany, kongres go ratyfikował. Anglia odwołała posła z Paryża... otucha weszła do serc, ale wojna się zapowiadała długa i ciężka.

Mimo świetnych nadziei, wojska ogłodzone, wycieńczone, okazywały zniechęcenie. — Wysyłane oddziały wszędzie kraj znajdowały spustoszonym przez Anglików; obie strony paliły zboża i plantacye, niszczyły magazyny i marły z głodu.

Anglicy chociaż lepiej zaopatrzeni, bo im flota dostarczała żywności, musieli jednak w końcu po dziewięciomiesięcznem zajęciu Filadelfii opuścić ją i zmienić dalsze plany działań wojennych.

Przeszedłszy w czerwcu Delawarę, udali się do Allen-Town, zagrażając razem Brunświkowi i Monmouth. Washington w ślad za nimi opuścił Valley-Forge i pociągnął, zawsze marząc o stoczeniu walnej bitwy... Zdało mu się, że korzystniejszą ona być może dla żołnierza, niż wyczekiwanie o głodzie. Część dowódców odradzała mu jednak, nie chcąc losów kraju stawić na niepewne szczęście dnia jednego.

Wojna między Anglią a Francyą, jak to przewidzieć było można, rozpoczęła się starciem na morzu. — Ochotnicy nasi dzielili losy wojsk amerykańskich i ich przykre położenie; żyjąc już nadzieją pomocy Francyi. — Tu lepiej zdawały się składać okoliczności, flota admirała d'Estaing przeznaczona do Ameryki, wypłynęła z Tulonu, nim admirał Byron gotów był w ślad za nią podążyć. Składała się ona z kilkunastu okrętów liniowych i czterech fregat. Burze i cisze przez trzy miesiące opóźniły jej przybycie.

W obawie napaści anglików d'Estaing, nie chciał sił rozdzielać, cała więc ta flotyla płynęła razem i powoli. W nocy zwijano żagle i zatrzymywano się, gdzie mrok pochwycił. Byron był jeszcze daleko.

W czerwcu stanął admirał francuzki u ujścia Delawary, potem popłynął za admirałem Howe, który z flotą swą schronił się w zatoce N. Yorku. Można sobie wystawić radość i otuchę, jaką przyniósł poseł Gerard, stając przed kongresem jako zwiastun pomocy Francyi...

Anglia na morzu rozwijała całą swą potęgę, wypowiedziawszy wojnę, zajęła posiadłości Francyi, wyspy św. Piotra i Miguelon, inna część flotyli z N. Yorku puściła się, wioząc wojsko na brzegi N. Jersey. D'Estaing pragnął bitwy, ale burze i wichry przeciwne nie dopuściły mu walki i odwlokły jej rozstrzygnięcie.

Kapitan Ferguson wylądowawszy w Egg Harbourg, popalił statki amerykańskie, zniszczył magazyny, splądrował sąsiednie warzelnie soli.

Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Teraz już nic zgoła nie rozumiem — rzekł Santerre.

— Czego nie rozumiesz?

— Tego, coście mi kazali oświadczyć przez waszego posłańca.

— My, albośmy kogo posyłali do ciebie?

— Bez wątpienia. Człowiek w ciemnem ubraniu, czarnowłosy, z zielonemi okularami uprzedził mnie w waszem imieniu, że właśnie macie zająć dom kawalera de Maison-Rouge, lecz że się broni jak lew; dla tego też pospieszyłem tu.

— Człowiek ciemno ubrany, czarnowłosy z zielonemi okularami? — powtórzył Lorin.

— A tak, który prowadził jakąś kobietę.

— Młodą, ładną? — zawołał Maurycy podbiegając do generała.

— Tak jest, młodą i ładną.

— To był on! i obywatelka Dixmer...

— Kto on?

— Maison-Rouge... O! ja nędzny, czemużem oboje trupem nie położył.

— No, no, obywatelu Lindey — rzekł Santerre — uspokój się, my ich schwytamy.

— Ale jakimże sposobem u szatana, przepuściliście ich? — spytał Lorin.

— Do licha! — odrzekł Santerre — przepuściłem ich, bo mi powiedzieli hasło.

— Znali nasze hasło! — zawołał Lorin — chyba więc mamy zdrajcę między nami?

— Nie, nie, obywatelu Lorin — rzekł Santerre — wszyscy was znają i są przekonani, że żaden z was nie jest zdrajcą.

Lorin spojrzał w koło siebie, niby szukając zdrajcy, którego obecność głosił. Napotkał zachmurzone czoło i błędne oko Maurycego.

— O! — szepnął — co to ma znaczyć?

— Człowiek ten nie może być daleko — powiedział Santerre — przejrzyjmy okolicę, może wpadł w ręce jakiego patrolu zręczniejszego od nas, który się nie dał oszukać.

— Tak, tak, szukajmy — poparł Lorin.

I chwyciwszy Maurycego za ramię, w zamiarze poszukiwania, wyprowadził go z ogrodu.

— Tak jest, szukajmy — powtórzyli żołnierze — ale pierwej...

I jeden z nich cisnął pochodnię pod szopę pełną drzazg i suchych roślin.

— Pójdź — rzekł Lorin — pójdź.

Maurycy nie stawił żadnego oporu. Jak dziecię szedł za Lorinem, obaj w milczeniu biegli aż do mostu; tam dopiero stanęli, Maurycy obejrzał się.

Na horyzoncie przedmieścia jaśniała łuna, po nad domami wzlatywało tysiąc iskier.

IV.

Zaprzysiężona wiara.

Maurycy zadrżał, wyciągnął rękę w stronę ulicy św. Jakuba.

— Gore — rzekł — gore.

— I cóż! tak jest, gore — rzekł Lorin — cóż stąd?

— O! Boże mój, Boże, jeżeli ona wróciła!

— Kto taki?

— Genowefa.

— Genowefa, jest to pani Dixmer, nieprawdaż?

— Tak jest, ona.

— Nie lękaj się, nie powróciła, bo nie dla tego wyszła.

— Lorinie, ja ją muszę wynaleźć i ja się muszę zemścić.

— O ho! — rzekł Lorin.

— Pomożesz mi ją wynaleźć, Lorinie, wszak prawda?

— Do licha! to rzecz nie trudna.

— Dla czego?

— Jeżeli los obywatelki Dixmer obchodzi cię tyle, ile się tego domyślam, to ją znasz zapewne

i znasz najpoufalszych jej przyjaciół; ona nie opuściła Paryża, bo oni wszyscy jakby na przekorę w nim bawią; schroniła się pewno u jakiej powiernicy, i jutro rano za pośrednictwem jakiej Róży lub Maryli przyśle ci liścik w tych prawie słowach zawarty:

Jeżeli Mars widzieć żąda,
Jak jego Cytera wygląda,
Niech lazurowa szarfa nocy,
Użyczy mu swojej pomocy.

I niech się przedstawi odźwiernemu, przy takiej a takiej ulicy, pod takim to numerem i zapyta o panią trzech gwiazd.

Maurycy wzruszył ramionami; wiedział dobrze, że Genowefa do nikogo schronić się nie mogła.

— Nie, my jej nie znajdziemy — szepnął.

— Pozwól, że ci coś powiem, mój Maurycy — rzekł Lorin.

— Cóż takiego?

— Że może niezbyt wielkie byłoby nieszczęście, gdybyśmy jej nie znaleźli.

— Lorinie, jeżeli jej nie znajdziemy, ja umrę — odparł Maurycy.

— Tam do djabła! to więc dla tej miłości już raz tylko co nie umarłeś?

— Tak jest — odpowiedział Maurycy.

Lorin zamyślił się na chwilę.

— Maurycy — rzekł — już blisko jedenastej; na ulicach pusto, oto kamienna ławka jakby umyślnie na przyjęcie dwóch przyjaciół oczekująca. Racz zezwolić na poufną rozmowę, że się wyrażę słowy za dawnego rządu przyjętemi. Honorem ręczę, że tylko prozą mówić będę.

Maurycy spojrzał w koło siebie i poszedł zająć miejsce na ławce. Lorin obejrzał się także i usiadł przy nim.

— Mów — rzekł Maurycy, zwieszając na rękę ociężałą swą głowę.

— Słuchaj, kochany przyjacielu, powiem ci bez wstępu, bez ogródek, bez komentarzy, że się gubisz, a raczej, że ty nas gubisz.

— Jakim sposobem? — spytał Maurycy.

— Mój drogi — mówił znowu Lorin — istnieje pewien dekret komitetu publicznego bezpieczeństwa, głoszący zdrajcą Francyi każdego, kto zostaje w stosunkach z jej nieprzyjaciołmi. I cóż, czy znasz ten dekret?

— Znam — odpowiedział Maurycy.

— A więc! ja sądzę, że ty także zdradzasz Francyą. Cóż ty na to?

— Lorinie!

— Jesteś nim niezawodnie, skoro nazywasz miłośnikami Francyi ludzi, którzy swe mieszkanie, stół i łoże dzielą z panem kawalerem de Maison-Rouge, a ten według mego zdania wcale nie jest egzaltowanym republikaninem, ani go też na teraz nikt nie obwinia o udział w dniach wrześniowych.

— Ah! Lorinie! — z westchniem szepnął Maurycy.

— Stąd pochodzi — mówił dalej moralista — że mi się zdawałeś i zdajesz dotąd nieco za wielkim przyjacielem nieprzyjaciela Francyi. No, no, nie oburzaj się, mój kochany; jesteś jak zmarły Enceladés, i niby wstrząsasz górą, skoro się obrócisz. Powtarzam więc, nie oburzaj się, a wyznaj raczej, że przestałeś być gorliwym.

Lorin, gdy to mówił, zdobył się na największą łagodność, do jakiej tylko był zdolnym, pokrył nią jednak prawdziwy zapał.

Maurycy poprzestał na zaprzeczeniu prostem tylko skinieniem.

Ale Lorin, nie zważając na nie, mówił dalej,

— O! gdybyśmy żyli wśród temperatury cieplarni, w której, według zasad botaniki, termometr wskazuje niezmiennie 16 stopni, powiedziałbym: kochany Maurycy, to bardzo grzecznie, to pięknie; dobrze jest czasem być nieco arystokratą, bo to dobrze robi i dobrze pachnie. Ale my gotujemy się dzisiaj w 35 do 40 stopniach gorąca, wszystko wre; tak więc komu chłodno przy takiem gorącu, tego nazywają zimnym, a kto zimny, ten i podejrzany; ty wiesz o tem, mój Maurycy; kto zaś podejrzany, za wiele masz rozsądku, mój kochany, iżbyś nie wiedział, że wkrótce wszystkiem być przestaje.

— Dobrze, mniejsza o to, niech mnie zabiją, i niech się wszystko raz skończy! — zawołał Maurycy — bo mi się nawet i życie już sprzykrzyło.

— Od kwadransa — rzekł Lorin. — Doprawdy, nie wiele czasu upłynęło jak ci pozwalam, abyś w tej mierze działał dowolnie; ale pojmujesz zapewne, że kto dziś umiera, umrzeć winien republikaninem; podczas gdy ty umrzesz arystokratą.

— O! ho! — zawołał Maurycy czując, że dolegliwa boleść, zadana wyrzutami sumienia, krew mu rozgrzewać zaczyna — o! ho! zanadto daleko posuwasz się, mój przyjacielu.

— Jeszcze się nawet dalej posunę, bo uprzedzam cię, że skoro zostaniesz arystokratą...

— To będziesz mię denuncyował?

— Ej! gdzież tam! zamknę cię w jakiej piwnicy, i niby jaki stracony przedmiot każę cię szukać przy odgłosie bębna; następnie ogłoszę, że arystokraci, wiedząc coś im myślał wyrządzić, zasekwestrowali cię, umęczyli, głodem umorzyli; tak

dalece, że skoro zostaniesz znaleziony, damy targowe i gałganiarki publicznie uwieńczą cię kwiatami. Spiesz się zatem, jeżeli pragniesz znowu zostać Arystedesem, bo sprawa twoja jasna.

— Lorin, Lorin, czuję ja, że masz słuszność, ale jestem wciągnięty, zsuwam się po pochyłości. Czyż dla tego dręczysz mnie, że fatalność pociąga mnie za sobą?

— Ja cię nie dręczę, ale sprzeczam się z tobą.

— Zostaw mię, Lorinie, a lepiej uczynisz.

— Nigdy.

— No, to pozwól niech dowolnie kocham, niech szaleję, niech może nawet popełnię zbrodnię, bo skoro ją znajdę, czuję że ją zabiję.

— Albo, że upadniesz jej do nóg. Ah! Maurycy! Maurycy zakochany w arystokratce, nigdybym temu nie był uwierzył.

— Dosyć, Lorinie, błagam cię!

— Maurycy, ja cię wyleczę z tej choroby, albo mię djabli porwą. Niechcę abyś wygrał w loteryą szanownej gilotyny. Strzesz się Maurycy, bo mnie oburzysz, bo zrobisz ze mnie krwiożercę. Maurycy, ja uczuwam potrzebę podpalenia wyspy świętego Ludwika; dajcie mi pochodnię, albo lont!

Ale po cóż się trudzę daremnie,
Po co mi lonty, pochodnie?
Twój ogień, Maurycy, bezemnie
Spali to miasto z twą duszą zgodnie.

Maurycy mimowoli roześmiał się.

Wiesz, że podług umowy mieliśmy tylko prozą rozmawiać — rzekł.

— I ty jej nie dotrzymujesz, bo mię oburzasz twem szaleństwem — odparł Lorin — bo... Ej! wiesz co! pójdź, wypijemy co, mój Maurycy! a potem, upiwszy się róbmy projekta, uczmy się ekonomii politycznej, ale, na miłość Jowisza, nie bądźmy zakochani.

— Tylko w bóstwie rozumu.

— Ah! prawda, moja bogini kazała ci nagadać same grzeczności, ona widzi w tobie bardzo miłego śmiertelnika.

— I tyś nie zazdrosny?

— Maurycy, aby ocalić przyjaciela, gotów jestem na wszelkie ofiary.

— Dziękuję ci, biedny mój Lorinie, i cenię twoje przywiązanie; ale najlepszym środkiem pocieszenia mię będzie nasycenie mojej boleści. Bądź zdrów Lorinie, idź do Artemizy.

— A ty gdzie pójdziesz?

— Ja pójdę do domu.

I to mówiąc Maurycy postąpił kilka kroków po moście.

— Mieszkasz więc teraz w stronie ulicy św. Jakuba.

— Nie, ale chciałbym przejść się tamtędy.

— Aby jeszcze raz ujrzeć miejsca, w których zamieszkiwała twoja bogini.

— Aby się przekonać czy nie wróciła tam, gdzie wie, że czekam na nią. O Genowefo! nie sądziłem cię zdolną do takiej zdrady!

— Maurycy, pewien tyran, wielki znawca płci pięknej, bo śmiercią przypłacił zbyteczne do niej przywiązanie, mawiał:

Kobieto zbyt zmienna istoto,
Głupi, kto ci wierzy niecnoto!

Maurycy westchnął i obaj przyjaciele udali się w ulicę św. Jakuba.

W miarę jak się zbliżali ku celowi swej drogi, słyszeli coraz większą wrzawę, widzieli coraz większe światło, słyszeli śpiewy, które wśród białego dnia, przy blasku słońca, w atmosferze walki, wydałyby się hymnem bohaterów, lecz teraz w nocy, przy blasku pożogi, nabierały pewnego brzmienia uczt kanibalowych.

— O! Boże! Boże! — zawołał Maurycy, zapominając, że wówczas we Francyi i w Boga nawet nie wierzono.

I szedł dalej potem zlany.

Lorin patrzał na niego, mrucząc pod nosem:

Miłości, miłości, kto ciebie uczuje
Traci głowę, rozum mu szwankuje!

Cały Paryż zdawał się dążyć ku widowni dopiero opowiedzianych wypadków, Maurycy przebijać się musiał przez kolumnę grenadyerów, szeregi sekcyonistów, wreszcie przez ściśnione tłumy pospólstwa, zawsze burzliwego, czujnego, które w owej epoce, wyjąc, biegło z widowiska na widowisko.

W miarę jak się zbliżał, uniesiony wściekłą niecierpliwością, przysparzał kroku. Lorin zaledwie mógł za nim zdążyć, lecz zbyt go kochał, iżby go miał w tej chwili opuszczać.

Wszystko prawie skończyło się i z szopy, pod którą żołnierz rzucił swą zapaloną pochodnię, ogień przeniósł się do drewnianych warsztatów zbudowanych z desek tak, aby dał się w nich utrzymać nieustanny przeciąg powietrza; spaliły się wyroby i teraz już paliły się budynki mieszkalne.

— O! mój Boże! — rzekł do siebie Maurycy — jeżeli znajduje się w którym pokoju, objętym ognistem kołem, jeżeli czeka na mnie, jeżeli wzywa mię!...

I prawie szalony z miłości, wierzący raczej w szaleństwo niż zdradą tej, którą kochał, zwie-

siwszy głowę, wpadł w pierwsze drzwi, które ujrzał wśród dymu.

Lorin ciągle szedł za nim; towarzyszyłby mu nawet do piekła.

Dach już gorzał; ogień zaczął już udzielać się schodom.

Maurycy zdyszały, przebiegł całe pierwsze piętro, pokój Genowefy, pokój kawalera de Maison-Rouge i kurytarze, stłumionym głosem wołając:

— Genowefo! Genowefo!

Nikt mu nie odpowiedział.

Wracając do pierwszego pokoju, dwaj przyjaciele ujrzeli kłęby dymu zaczynającego wciskać się przez drzwi. Mimo krzyków Lorina wskazującego na okno, Maurycy przeszedł środkiem płomieni.

Następnie wpadł do głównej części domu, niczem nie wstrzymany przebiegł dziedziniec zarzucony połamanemi sprzęty, znalazł jadalną salę, pokój Dixmera, gabinet chemika Moranda; a wszystko pełne dymu, gruzów, potłuczonego szkła; ogień dosięgał już i tej części domu i zaczynał ją trawić.

I tu Maurycy zwiedził każdy pokój, każdy zakątek. Był nawet w piwnicach, bo sądził, że Genowefa uciekając przed pożarem, tam się może ukryła.

Nie znalazł jednak nikogo.

— Do licha — rzekł mu Lorin — widzisz przecie, że niktby tu nie wytrzymał, chyba same salamandry, a ty nie szukasz tego bajecznego zwierzęcia. Pójdź, będziemy się wypytywać obecnych; może ją kto widział.

Trzeba było użyć wszelkich sił aby wyprowadzić Maurycego z tego domu; nadzieja wyprowadziła go ująwszy za jeden tylko włos.

Wówczas nastąpiły badania; dwaj przyjaciele przejrzeli całą okolicę, zatrzymywali przechodzące kobiety, zwiedzali wszystkie przejścia, ale bez żadnego skutku.

Już była pierwsza po północy; Maurycy, mimo atletycznej siły, uległ wreszcie utrudzeniu, i postanowił zaniechać swych wycieczek, wybadywań i nieustannego stykania się z tłumem.

Fiakr właśnie przejeżdżał; Lorin zatrzymał go.

— Mój kochany — rzekł do Maurycego — czyniliśmy co tylko można, aby wynaleźć twoją Genowefę; dla niej zmordowaliśmy się, dla niej poparzyliśmy się, dla niej dosyć nabraliśmy kułaków: sam nawet Kupido*), jakkolwiek bardzo wymagający, nie może więcej żądać od rozkochanego człowieka, a nadewszystko od nierozkochanego. Wsiądźmy i wróćmy każdy do siebie.

Maurycy nie odpowiedział ale dał się powodować. Dwaj przyjaciele w milczeniu przybyli aż do drzwi mieszkania Maurycego.

Właśnie gdy Maurycy wysiadał z fiakru, usłyszał, że zamknięto okno od jego pokoju.

— Ah! dobrze! — rzekł Lorin — czekano na ciebie, jestem spokojniejszy. Teraz zastukaj.

— Maurycy uczynił to i drzwi się otworzyły.

— Dobra noc! — rzekł Lorin — czekaj mię jutro rano, razem wyjdziemy.

— Dobra noc! — machinalnie odpowiedział Maurycy.

I zamknął drzwi za sobą.

Zaraz na początku schodów spotkał swego oficyalistę.

— O! obywatelu Lindey — zawołał tenże — jakiej-żeś nas niespokojności nabawił.

Wyraz nas uderzył Maurycego.

— Was? — spytał.

— Tak jest, mnie i tę damę, która czeka na ciebie obywatelu.

— Dama! — powtórzył Maurycy, nie uważając za rzecz stosowną przypominać sobie w tej chwili którą ze swych dawnych przyjaciółek; dobrześ zrobił, żeś mi to powiedział, pójdę na noc do Lorina.

— O! to niepodobna; ona była w oknie, widziała jakeś wysiadał, obywatelu, i zawołała: „Otóż i on!"

— Eh! mniejsza że wie, iż to ja, nie jestem dziś usposobiony do romansów. Idź na górę i powiedz tej kobiecie, że się pomyliła.

Oficyalista już chciał usłuchać, ale zatrzymał się.

— Ah! obywatelu — rzekł — źle czynisz: ta dama już i tak bardzo smutna, a moja odpowiedź zapewne ją o rozpacz przyprawi.

— Ależ nakoniec, cóż to za kobieta? — rzekł Maurycy.

*) Bożek miłości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ KOBIECY.

O manii podróżowania.

Nie spostrzegacie Wy, Szanowne Czytelniczki, że ta plaga corocznie większe zatacza kręgi, że podczas, kiedy dawniej podróżowały tylko te kobiety, które istotnie musiały szukać ratunku w zdrojowiskach i lecznicach, teraz już przeciętna mieszczka potrafi w siebie wmówić anemię i przepracowanie, ażeby się tylko gdziekolwiekbądź z domu wydostać!?

Zdrowym to objawem nie jest, bo pominąwszy już stronę materyalną, o co przecież rzekomo bardzo kobietom chodzi, nie znajdują one ani w przybliżeniu tego, poco jechały i czego się spodziewały. Jeżeli po powrocie okazują zupełne zadowolenie, to blagują sromotnie. Dla zapracowanej kobiety, stosowniejszy zupełny wypoczynek w domu, przy możliwie największych wygodach, a dla słabowitej znowu wypoczynek i znowu wygody!

Powiecie, że przecie każdemu człowiekowi należy się trochę rozrywki, ażeby umysł odświeżyć po całorocznej pracy i nabrać otuchy do dalszej pracy. A jabym powiedziała, że te rozrywki wszelkie, po za domem, to tylko dalszy ciąg pracy i umęczenia.

Czy to podróż już sama nie męczy? Czy to przebieranie się kilkakrotne na dzień nie męczy? Czy wreszcie to bezustanne krępowanie się w obec osób nieznanych nam, a nieraz niesympatycznych może nam nerwy rozstrojone uspokoić?

Jabym Wam, Szanowne Czytelniczki inną dała receptę — zechciejcie mię tylko posłuchać! Przedewszystkiem urządźcie sobie pobyt w domu tak, aby wam w nim *dobrze* było! A więc — domowy przyodziewek powinien być wygodny, a przedewszystkiem — nie gorszcie się — i do wyjścia zastosowany, ażebyśmy każdej chwili, kiedy nam się podoba mogły z domu wychodzić bez uciążliwego przebierania się. Oczywiście o „toaletach“ tu nie mówię! Potem — na co mamy apetyt, każmy sobie zrobić, albo zróbmy same, pod tym właśnie względem nie należy liczyć się z wyjątkami, bo chyba w podróży utrzymanie nas więcej kosztuje. — A potem oczywiście i powietrza świeżego żałować sobie nie trzeba, ani we dnie, ani w nocy. — Wreszcie rzecz ważna: zachować miarę gościnności, czy to wobec przyjezdnych, czy przychodnich gości i zbytnio się nimi nie krępować.

Czemuby się to wrócić nie miały te czasy, kiedy — czem chata była bogata, — gościa przyjmowano, niewystawnie, ale serdecznie, kiedy każdy gość czuł się w gościnie, jak u siebie w domu, będąc przekonanym, że swoją obecnością gospodarzy nieutrudza, ani im kosztów przymnaża. Tylko bowiem taki sposób przyjmowania gości może mieć racyę bytu i wobec takiego gościa możemy zastosować nasze przysłowie stare: „Gość w dom — Bóg w dom“, bo prostotą naszego przyjęcia upewniamy się, że kto nas odwiedzi, to go prawdziwe sprowadza przywiązanie.

A teraz na zakończenie tego artykułu, który mi się przewlókł nieco, pozwolę sobie jeszcze na to zwrócić uwagę Szanownym Czytelniczkom, ażeby, chcąc mieć w domu dobrze, niezapracowywały się! Jest w takim uganianiu po domu wiele nieraz przesady i niejedno zajęcie, które mogłybyśmy bezpiecznie odłożyć na jutro, załatwiamy nieraz do późnej nocy. I po co? Zostawimy napewno i robótkę zaczętą i suknię niedokończoną i przeróżne sprawy niezałatwione, a będziemy musiały pójść tam, gdzie nas Opatrzność powoła, skoro kres życia naszego nadejdzie!

Mody na sezon jesienny i zimowy.

Moda, zmienna pani, przygotowuje się już do zmian na sezon jesienny i zimowy. Jeżeli już w czasie obecnym w modzie zauważyć można, że się tak wyrazimy, epokę wysmukłości, to w nadchodzącym sezonie jesiennym i zimowym dążenie do osiągnięcia sylwety jak najsmuklejszej przekroczy niemal granice ekscentryczności.

Spódnice już dziś mało szerokie, bynajmniej nie sute, są poniżej kolan ściągane przy pomocy listew z materyi, szarf i innych obsad, by figurę uczynić jak najbardziej smukłą. Jeżeli kilka materyi kładzie się jednę nad drugą, np. przy narzutkach przejrzystych i spódniacach z tuniką, wówczas należy spódnicę dolną zrobić jak najwęższą; dolne spódnice o obwodzie 180 a nawet 150 cm. nie są rzadkością.

Charakterystycznym jest przy fasonie to, że spódnice są górą marszczone, a dołem gładkie. Część marszczoną szyje się stosownie do szerokości materyłu z mało tylko części, we formie klo-

szowej lub też z więcej skośnych bretów. Dół spódnicy nie jest szyty krojem wolantowym, lecz jest skrojony prosto, a szerokość jego wynosi 180 do 200 cm.

Przy kostyumach *tailleur* są bardzo modne spódnice, zakładane w fałdy, które obecnie są więcej płaskie, niż dawniej. Fałdy zaprasowywuje się gładko i stebnuje conajmniej do połowy ich wysokości lub okrąża listwami poprzecznemi, zapobiegającemi rozchylaniu się fałd. Bardzo modne są też spodnice z palonę falbaną. Szczytem elegancyi są — prócz wyżej wymienionych spódnic marszczonych — gładko spadające tuniki, specyalnie z materyałów cienkich, obsadzonych szerokiemi plisami z jedwabiu lub aksamitu.

O ile spódnice są na ogół dość skomplikowane, o tyle bluzki, dość skromne, wynagradzają nam wydatki na pierwsze. Prostocie tej, przy krótkości spódnic, które nawet przy toaletach wizytowych sięgają zaledwie ziemi, zawdzięcza nowa moda wygląd, pełen wdzięku i młodości. Bardzo młodzieńczo wygląda bluza japońska ze swymi naciętymi rękawkami i miłą fryzą przy wyciętej szyi. Fason ten zastosować można bardzo dobrze do wieku danej osoby. Bardzo modny jest dalej wystrój obsadą na krzyż lub w formie gorsecików; bluzki krojem ruskim z bardzo elegancko wyglądającym zapięciem z boku nadają się doskonale do sukien domowych.

Na kostyumy najwięcej są odpowiednie materyały homespun, szewioty i angielskie; z kolorów są modne granat *(bleu-marine)* i szary z czarnym. Ulubieńcem mody w kostyumach spacerowych i wizytowych jest znów aksamit, zwłaszcza czarny, ciemnozielony lub ciemnoszary. Na eleganckie toalety biorą jedwabny kaszmir i półjedwabną krepę, z jedwabi zaś krepy matowe, tafty *changeants* i miękki jedwab *liberty;* przy toaletach wieczorowych muśliny i jedwabne woale.

O ile dotychchzas modne były materyały gładkie, tak teraz zastąpiły je dla odmiany materye w deseń i odpasowane. Aby osiągnąć efektowne połączenie kolorów, bierze się modne wciąż jeszcze narzutki; na materyały zbyt jaskrawe nakłada się np. jedwabne woale i muśliny krepowe. Borty (odpasowania) użyć można do przybrania staników itd. Jako wystrój są najmodniejsze wyszywania wschodnie.

Na wieczory odpowiednie są kolory: biały, czarny, różowy *(rose corail, crevette)*, siarczano-żółty, blado-niebieski *(bleu pastel)* i chabrowy oraz inne odmiany. Bardzo eleganckimi są kolory *changeant* w jedwabiach i woalach.

Dla panienek zaleca się sukienki białe z tiulu i batystu, noszone na jedwabnych kolorowych podkładkach.

Garnirowanie perełkowe zeszło obecnie na drugi plan, w modę weszły natomiast małe, kolorowe perełki drewniane. Z wyszywań podnieść należy wyszywania angielskie jedwabiem na muślinie jedwabnym. Oprócz tego nadają się na ubranie toalet balowych i wieczorowych koronki weneckie, miękkie, szerokie wstążki, ściągające spódnice, oraz wielkie szarfy i kokardy jedwabne wiązane zgrabnie w kwiaty. Do tego buciki złote, srebrne lub tego samego, co suknia koloru, oraz rękawiczki duńskie lub *glacé*.

Co do bluzek dodać należy, że moda obecna pozwala na to, by były one w odmiennych, niż spódnice, kolorach. Tę samą bluzkę można nosić z odpowiedniemi narzutkami do rozmaitych spódnic.

Dom i kuchnia.

Węgorz z półmiska.

6 funtów obciągniętego ze skóry węgorza pokrajać w dzwonka, osolić na parę godzin i ugotować w słonej wodzie. Dzwonka po ugotowaniu ułożyć na półmisku, przeznaczonym do pieczenia, i polać następującym sosem: Łyżkę masła zasmażyć z łyżką mąki, rozebrać dwiema kwaterkami rosołu, w którym się węgorz gotował, zaprawić 6 żółtkami, osolić, opieprzyć, dodać soku z jednej cytryny, 2 szklanki kuchennego wina i 6 łutów utartego parmezanu. Sosem w ten sposób przygotowanym zalać rybę, posypać z wierzchu parmezanem, i wsunąwszy półmisek pod blachę, zapiec rybę przez kwadrans i z półmiskiem wydać na stół.

Kołdry

pierze się w następny sposób: wybrać na ten cel dzień pogodny, ciepły i słoneczny, kołdry wpierw wytrzepać dobrze z kurzu; kawałek dobrego mydła pralnego pokrajać w drobne płatki i gotować w dwóch kwartach wody, aż się rozgotuje dostkonale, do tego dodać pół funta sproszkowanego boraksu. Balię napełnić do połowy letnią wodą, (nie ciepłą) włożyć kołdry w balię i dusić, nie trzeć w dłoniach, następnie zostawić je tam na dwie godziny, wypłukać dobrze w kilku wodach, aż woda ostatnia będzie klarowną i bez wyżdżymania rozwiesić na sznurze. Nie rozciągnąć, lecz rozwiesić równo, a chociaż woda cieknie, kołdra wyschnie w czterech godzinach. Kołdry prane w ten sposób będą miękkie i czyste jak nowe.

:: HUMORYSTYKA ::

Szczery.

Żona: Wiesz ty o tem, mężusiu, że jutro upłynie lat pięć, jakeśmy się z sobą pobrali?

Mąż: Ta... a... ak?... a mnie się to już wydawało znacznie dłużej...

Szpic młody i stary pudel.

Wyrwawszy się szpic młody z pokojów imości,
Spotkał pudla starego, co ogryzał kości.
Zdziwiony takim stanem biednego kamrata,
Spytą się: „u jakiegoż bracie służysz kata?
„Mnie zawsze, abym nie chudł smaczne kąski dają,
„Głaszczą mnie, pielęgnują, na sofie sadzają.
„Ty wychudłeś, zgłodniały, obraz jawnej nędzy,
„Jak pozwany do sądu dłużnik bez pieniędzy."
„Rozumiem — rzecze pudel: — jesteś faworytem
„I jam się też podobnym niegdyś cieszył bytem;
„Gdy znikła młodość moja, zbrzydniała i postać:
„Musiałem z faworyta dziś żebrakiem zostać."
Taki to humor panów, służ im wiernie z młodu,
Gdyś stary i bezsilny, pewno zdechniesz z głodu.

W sądzie.

— Z uwagi na okoliczności łagodzące, skazany jesteś tylko na trzy dni aresztu.

— O niechże to panu sędziemu Pan Jezus stokrotnie wynagrodzi.

— Zaręczam panu sędziemu, że zegarek ten mimo mej woli ukradłem.

— To nic, za to też acana mimo jego woli zamkniemy do dziury, i sprawiedliwości stanie się zadość.

— Zacny mój przyjacielu, córka moja nie dostanie teraz nic w posagu.

— O! jakże żałuję mocno.

— Ale po mojej śmierci.

— Dobrze, dobrze; będę wyczekiwał.

Złośliwy.

Pewna stara dama spaceruje z pączkiem róży u piersi. Jakiś chłopak na ulicy obserwuje ją tak długo, że to aż damę rozgniewało.

— Cóż się tak gapisz na mnie smarkaczu?

— E! nic! Ja się tylko dziwię, że taki stary krzak jeszcze pączki puszcza!

Nieustraszony tchórz.

Szedł mąż pewien przez las,
Po nocy piechotą...
Jakieś dzikie śmiechy...
— Dyabeł? Mniejsza o to.

Nie był zabobonnym,
Tak go nauczali;
Dyabła się nie lękał,
I szedł sobie dalej.

Już zaczęło świtać
Szarzeje dąbrowa...
Patrzy, że nie dyabeł
Lecz idzie teściowa.

Więc zawołał trwożnie
Już ze światem zbratan:
Mam pietra; teściowa
To gorsza niż szatan!

Niedowiarek.

— Czy pani nie wierzysz, że cię kocham?

— Wierzę.

— I że będziesz szczęśliwą, skoro wyjdziesz za mnie?

— W to, to nie wierzę.

Zawsze ten sam.

— Uważasz, Samuś! doktor mówił, że po kąpielach ubędzie mnie dwadzieścia funtów, a mnie ubyło dwadzieścia jeden.

— Widzisz, Salczu? dostałasz jeden funt rabatu...

PARASOLE

najlepszej jakości

męskie i damskie

od 3 kor., poleca

Teofil Bękner

Kraków, Długa 4.

Dla dzieci!

polecamy książeczki wydawane przez

Jadwigę z Łobzowa.

1)	„Polne kwiaty" zbiór legend . .	cena	70 hal.
2)	„Jak ja się bawiła" wierszyki .	„	40 „
3)	„O królewnie Kasi" powiastka .	„	40 „
4)	„Trzeci Maj" obrazek	„	40 „
5)	„Powinszowanie" wierszyki . .	„	30 „
6)	„Przed latami" wiersze	„	50 „
7)	„Paciorek" wiersze	„	50 „
8)	„Pójdę ja pójdę" deklamacye . .	„	40 „
9)	„Coś dziwnego" wiersze i powiastki	„	30 „
10)	„Korale Marysi i Kasi" teatrzyk	„	20 „
11)	„Król kochany" teatrzyk . . .	„	20 „
12)	„Przeczytam kilka gawęd" . . .	„	24 „
13)	„Krakowiaczek" wierszyki narod.	„	30 „

Dostać można w wszystkich księgarniach, albo pisać do Krakowa: **Jadwiga Strokowa, Kraków, Kilińskiego 5.**

Przyrządy i słoje

do konserwowania jarzyn i owoców **systemu Wecka** poleca wyłączny skład i sprzedaż

W. Halski, Kraków

Sukiennice 21, 22.

Cenniki ilustrowane na żądanie.

B. Wierzejski

Kraków Rynek, róg Floryańskiej

dostawca dla

Związku lekarzy

poleca w wielkim wyborze

Bieliznę białą i kolorową, Krawaty, Rękawiczki, Kapelusze.

Telefon Nr. 368.

W. Stachowicz

krawiec męski

W Krakowie. Rynek główny l. 29.

poleca na sezon wiosenny i letni wielki wybór materyałów angielskich, francuskich i krajowych.

Ceny umiarkowane.

Skład fortepianów

W. Barabasza

Kraków, Rynek 39, A-B.

dom W-go Fischera — poleca

instrumenta używane po cenach najniższych, tak do **wynajmu** jak i **sprzedaży.**

„Krajowy Kolejarz"

centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:

Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarskiego.

Przedpłata wynosi rocz. **2 Kor.** półrocz. **1 Kor.** - - - - - kwartalnie **50 hal.** - - - - -

Przedpłatę przesyłać należy do

Administracyi „Krajowego Kolejarza"
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

„KUPIEC POLSKI"

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

"Kupiec Polski" omawia sprawy kupiectwa wszyskich dzielnic polskich.	**Ogłoszenia** w „Kupcu Polskim" najlepiej się opłacają.
„Kupiec Polski" obfitością treści przewyższa nawet fachowe pisma niemieckie.	**"Kupiec Polski"** ma czytelników we wszystkich sferach i dzielnicach Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austryi 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
„ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła" jest najstarszem pismem pedagogicznem w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacye o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna" podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjętacyę w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,
miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności,
wychodzi we Lwowie pod redakcyą Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną", przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły" wynosi:

rzcznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej" wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:
Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i ogólno-ekonomicznym

Wydawcą tego pisma jest **„Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych"** we Lwowie plac Smolki l. 4. działający w porozumieniu z Komisyą krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym Związkiem przemysłowym i innemi wybitniejszemi organizacyami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austryi rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.
Redakcya i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

Gwiazdka Cieszyńska

pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przedewszystkiem sprawami narodowemi i ekonomicznemi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.

Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h, kwartalnie 1 k 75 h.

Za ogłoszenia płaci się **20 h** od wiersza drobnego; przy :: kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat :

Adres: **Redakcya i Administracya „Gwiazdki Cieszyńskiej" — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

NOWO OTWORZONA

KAWIARNIA

„Casino"

w Krakowie, Rynek gł. l. 12

I-sze piętro.

∴ ∴ ∴ Sale bilardowe. ∴ ∴ ∴

Szachy.

Pokoje do gier towarzyskich.

Czytelnia.

Polecając się łaskawym względom P. T. Publiczności, pozostaję

z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

3 Korony wynosi rocznie z przesyłką pocztową prenumerata - - **Straży Polskiej.**

Straż Polska jest organem stowarzyszenia, noszącego tę samą nazwę, a mającego na celu obronę duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego.

Straż Polska nie służy żadnemu stronnictwu, jest pismem czysto narodowem.

Do współpracowników **Straży Polskiej** należą; prof. A. E. Balicki. K. Bartoszewicz. Dr. L. Caro. Dr. J. Flach. Prof. Dr. Tad. Grabowski. Kazim. Gliński. Wiktor Gomulicki. Marya Konopnicka. Wanda Krzyżanowska. Dr. Kaz. Lubecki. Prof. M. Magiera. Prof. Czesław Pieniążek. Dr. J. Ptaśnik. Dr. Lucyan Rydel. Henryk Sienkiewicz. C. Smólski. JE. Stanisław Tarnowski i t. d.

Adres: **Straż Polska, Kraków, Floryańska 1.**

Skład i pracownia wyrobów zakopiańskich

Ign. MARCINKIEWICZA

w Krakowie, przy ul. Floryańskiej 6.

Poleca:

Peleryny zakopiańskie i tyrolskie, damskie i męskie, zwykłe i od deszczu **od 13 koron.** Guńki zakopiańskie damskie i dziecinne sabałówki, żuawki i stroje krakowskie. Serdaki futrzane męskie damskie i dziecinne, według oryginalnych wzorów zakopiańskich.

Filie:. w Zakopanem i Rabce.

Z poważaniem

Ignacy Marcinkiewicz, kuśnierz, Foryańska 6.

Polskie firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpowszechnionym

Tygodniku Narodowym.

Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitym skutkiem do mycia i utrzymania w czystości skóry na głowie. Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.

OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, millefleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy, posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k.

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia włosów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.
KRAKÓW — Sukiennice 20.
PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

Na

Kościoły
Plebanie
Szkoły
Domy prywatne

używa się tylko paloną

Dachówkę
Ciesielskiego

16d

W Krakowie, ul. Garncarska 14.
— Telefon 1079. —

„Przewodnik Kółek rolniczych"

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny"

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny" celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych — numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny" Kraków Wiślna 2

Dyplom honorowy na Wystawie w Krakowie r. 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I. p.
nad apteką pod „Białym Orłem"

pod Zamkiem L. 234 Filia w Krynicy **pod Zamkiem L. 234**

poleca Szanownej P. T. Publiczności

główny skład i pracownię

PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich, damskich, męskich i dziecięcych

po bardzo nizkich cenach,

oraz wielki wybór serdaków i wszelkich stroi zakopiańskich

Zamówienia i reparacye uskutecznia w jak najkrótszym czasie

15 19

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych

St. Niemczyk

29 **KRAKÓW** L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI"

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.
PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY.
Rok założenia 1904.
Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.